MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 5. WARSZAWA, 22 STYCZNIA 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.

UMOWA GRANICZNA

W NIEMCZECH mieszka przeszło miljon Polaków. Z tej liczby conajmniej trzy czwarte — na granicy polsko - niemieckiej lub w pobliżu tej granicy. Tuż przy naszej granicy zachodniej,—tej granicy „płonącej“, czy „krwawiącej“, jak ją nazywa propaganda rewizjonistyczna niemiecka—żyją i pracują setki tysięcy naszych rodaków. Nie wiele o nich wiemy w chwili obecnej. Brak inteligencji polskiej na tych odwiecznych ziemiach polskich, przewaga gospodarcza żywiołu niemieckiego i bezwzględna walką z każdym przejawem życia polskiego, prowadzona przez niemieckie społeczeństwo, przy cichej, lecz skutecznej pomocy rządu berlińskiego — to wszystko stwarza dla ludności polskiej w Niemczech warunki istnienia raczej bałkańskie niż europejskie. Życie naszych rodaków w Niemczech jest przytłumione. Wszelkie najprostsze jego objawy muszą kryć się w cieniu.

Nie wiele wie o tem Polska. W dzielnicach zachodnich jest może większe i żywsze zrozumienie dla tej sprawy, — znacznie gorzej jest w Warszawie. A jest to przecież wał piersi polskich po tamtej stronie zagrożonej granicy. Oceniono ten fakt w Niemczech. Setki miljonów marek wydaje się na to, ażeby ten wał zburzyć lub przynajmniej osłabić. *Ostprogramm - Notprogramm* oraz inne pozycje budżetowe — oto narzędzia tej walki.

Czy skuteczne?

Trudno to dziś przesądzać. Nie ulega jednak wątpliwości, że pod naciskiem społeczeństwa i rządu przyczaja się jeszcze bardziej polskość w Niemczech, że się zamyka w sobie jak ślimak w skorupie. Takie jest znaczenie owych liczb wyborczych, które nam od roku 1927 bez przerwy przynosi prasa. Kurczy się liczba głosów polskich w Niemczech. Ludność nie czuje w sobie animuszu do podjęcia otwartej walki w obronie swej polskości. Czuje się bardzo osamotniona. Materjalnie nikt jej nie może pomódz w takiej mierze, któraby zrównoważyć mogła nacisk ze strony niemieckiej. Ingerencja Państwa Polskiego może, w granicach Konwencji Górnośląskiej, bronić ludności polskiej na Górnym Śląsku niemieckim, lecz zakres tej obrony jest ściśle zakreślony artykułami 66-69 tej Konwencji i na nie wiele zda się tam, gdzie cały atak prowadzony jest pozornie nie przez władze, lecz przez zorganizowane społeczeństwo.

Możnaby powiedzieć o Polakach w Niemczech, że losy ich zamknięte w granicach czynników, niezależnych od naszej zbiorowej woli. Są to jednak granice dość szerokie i w ich zakresie działają czynniki, nie dające się zniszczyć i przekreślić ani największym nakładem funduszów antypolskich, ani naciskiem administracyjnym czy hitlerowskim. Są to *imponderabilia*, niewidzialnemi węzłami łączące ten odłam polskości z całością Narodu. Tradycja, historja, oraz to wszystko, co jako głos i wola Polski żywej dostaje się na tamtą stronę kordonu.

Rodacy nasi w Niemczech i geograficznie i ideowo żyją w bliskim związku z Polską, a zwłaszcza z jej dzielnicami zachodniemi. T. zw. mały ruch graniczny czyni z pogranicza po obu stronach kordonu, a zwłaszcza na Górnym Śląsku—jakby jakąś jedną, odrębną dzielnicę. Wielu naszych rodaków ma siedzibę po jednej stronie kordonu, pracę — po drugiej. Pogranicze jest specyficzną jednostką terytorjalną, żyjącą życiem dwoistem, czujnem w obu

kierunkach, wrażliwem na wszystko, co się w jej sprawie dzieje, zarówno w Warszawie, jak i w Berlinie. Każde posunięcie obu rządów jest porównywane i oceniane bardzo uważnie. Te nastroje, nastroje Śląska Opolskiego są decydujące dla nastrojów całej Polonii w Niemczech. W ciągu ostatnich lat sześciu propaganda niemiecka miała wobec niej zadanie ułatwione. Każda sprawa, którą po zamachu majowym przebolała Polska, znalazła w Niemczach szerokie i jaskrawe oświetlenie. Nie przyczyniło się to do wzmożenia tej siły przyciągającej, jaką Polska wywierać mogłaby na naszych rodaków w Niemczech...

Ostatnio zaszedł fakt nowy, dotkliwy dla naszej Polonii w Niemczech jej a zwłaszcza tej, części, która mieszka w pasie granicznym. Sejm w dniu 13 grudnia ub. r. wyraził zgodę na ratyfikowanie nowej „Umowy o małym ruchu granicznym".

Każda umowa o tak zwanym „małym ruchu granicznym" zajmuje się przedewszystkiem ludnością rolną. Jest to zupełnie zrozumiałe, na nikim bowiem tak dotkliwie nie odbija się przeprowadzenie kordonu granicznego jak na rolniku. Granica przecina mu pole uprawne, lub odcina pole od zabudowań gospodarczych. Ażeby żyć i pracować, musi on mieć możność wielokrotnego i swobodnego przekraczania granicy w miejscu, odpowiadającem położeniu jego gruntu i to jego prawo musi być ustalone przez ustawy, nie może być zależne od uznania tego lub innego przedstawiciela władzy. Każda dowolność, każde swobodne uznanie władzy stworzyćby musiało dla ludności granicznej, zwłaszcza dla ludności rolniczej nieznośne konsekwencje, a po stronie niemieckiej na ludność polską spadłyby wszystkie konsekwencje dowolności postępowania władz niemieckich.

To też w dotychczasowej Konwencji o ruchu granicznym z roku 1924, która obowiązywała przez lat osiem, prawa i obowiązki ludności granicznej były ściśle ustalone, dowolność działania władz granicznych sprowadzona do *minimum*. Tak było do roku 1932. W tym roku rząd wniósł do Sejmu nową umowę o ruchu granicznym, a na posiedzeniu Sejmu w dniu 13 grudnia ub. r. przeprowadził ją głosami BB przeciwko głosom opozycji.

Umowa ta, podpisana przez rząd obecny w dniu 21 grudnia 1931 r., różni się nie tylko pod względem technicznym od Konwencji z roku 1924, nie tylko zapoznaje prawa ludności rolnej po obu stronach granicy, lecz zamiast ścisłych uprawnień ludności, przewidzianych w Konwencji, wprowadza uprawnienia administracji. Tak jest w nowej Umowie, zarówno w stosunku do miejsca przekroczenia granicy, jak i co do czasu, kiedy wolno to czynić. W Konwencji z roku 1924 było to ściśle określone, w nowej umowie z roku 1932 pozostawiono uznaniu administracji. Uznaniu administracji pozostawiono również decyzje, kogo się uznaje za osobę rzetelną przy odprawie celnej i kogo na tej podstawie zwolnić można od składania zabezpieczenia.

Dokument dyplomatyczny, podpisany przez stronę polską, daje w ten sposób prawo swobodnego uznania w stosunku do ludności po obu stronach kordonu. Polski celnik będzie mógł według swego uznania regulować najżywotniejsze potrzeby ludności granicznej po stronie polskiej lecz, — co gorsza,—celnik niemiecki będzie miał prawo na podstawie dokumentu, podpisanego przez władze polskie, — według swego swobodnego uznania pozwalać i nie pozwalać, regulować czas i miejsce, uznawać jednych za rzetelnych, drugich za nierzetelnych. Kto okaże się nierzetelnym po stronie niemieckiej, nie trudno odgadnąć. Kto będzie miał największe trudności w pracy, dla kogo posiadany na granicy kawałek ziemi stanie się bezużytecznym ciężarem — nie trzeba być prorokiem, ażeby to przewidzieć. A kiedy szykanowana i gnębiona ludność polska po tamtej stronie kordonu zachwieje się w swem przywiązaniu do ziemi i pomyśli o zbyciu ojcowizny w poszukiwaniu pracy gdzie indziej, wówczas cały aparat finansowy *Ostprogramm*'u pracować będzie nad tem, ażeby ułatwić nabycie polskiej ziemi Niemcowi.

Tak wyglądają nowe *imponderabilia*, rzucone na szalę losów naszej ludności w Niemczech. Do wszystkich trudności i goryczy przybywa nowa, oddająca ludność polską po tamtej stronie kordonu na łaskę i niełaskę niemieckiej administracji w sprawach ruchu granicznego. Rząd polski ukazuje się naraz jako instancja, przyzwalająca na ucisk i szykany. Twórczość prawna, lubująca się w ograniczaniu praw ludności i wprowadzająca uprawnienia administracji, pozwalająca administracji na dowolne regulowanie praw ludności, kiedy chodzi o prawo koalicji i t. p., już nie poprzestaje na terenie wewnętrznym swego działania, już przelewa się poza kordon, ażeby swoisty ten wyrób krajowy zaaplikować ludności polskiej w Niemczech.

Umowa o małym ruchu granicznym spadnie niemałym ciężarem na barki tej ludności, przeciwko której kieruje się dziś cały nacisk żywiołu niemieckiego. Akcji antypolskiej przybywa nowa broń, ukuta nie tylko niemieckiemi, lecz i polskiemi rękami.

Losy ludności polskiej w Niemczech kształtują się w znacznym stopniu pod wpływem tego uroku, jaki mieć może po tamtej stronie kordonu Państwo Polskie. Nowa umowa o „małym ruchu granicznym" z pewnością nie zwiększy tego uroku i nie wzmocni siły odpornej tej ludności w walce o byt.

STANISŁAW ZIELIŃSKI

WALKA O AUTONOMJĘ UNIWERSYTECKĄ

(Ciąg dalszy)

3. USIŁOWANIA BIUROKRACJI WIEDEŃSKIEJ OGRANICZANIA AUTONOMJI W POLSKICH WYŻSZYCH UCZELNIACH

TE NIEZDROWE tendencje, nie liczące się z potrzebami życia, lecz tylko z ambicjami biurokratyzmu, który wszystko wie, wszystko umie, a właściwie daleki jest od życia, niestety przesiąknęły i do biurokracji galicyjskiej, tworzącej się na podobieństwo i obraz swego pierwowzoru—biurokracji niemieckiej, wiedeńskiej, centralnej. Oczywiście nie zdołał jej on całkowicie zarazić swoją wyłącznością i wynoszeniem się nad ogół społeczny, ale pojęcie swojej wyższości nad czynnikami społecznemi, a między innemi i nad naukowemi, niestety zdołał zaszczepić.

To też w czasach bezpośrednio przedwojennych spotkać się było można z niewłaściwą ingerencją władz administracyjnych austrjackiego Ministerstwa Oświaty w prawa autonomji uniwersytetów — zwłaszcza gdy chodziło o spory narodowościowe, których pełno było wówczas w Austrji, a z któremi nie umiała sobie poradzić biurokracja wiedeńska i krajowa, rozjątrzając jeszcze bardziej już zaostrzone stosunki.

Pamiętam, jak naprzykład ówczesny namiestnik, chociaż były profesor, jednak powolny życzeniom austrjackiego rządu, wniósł na obrady Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Jagiellońskiego projekt przyjęcia na jakiś czas wykładów słoweńskich, których nie chcieli Niemcy dopuścić do Mahrburga, a rząd austrjacki dla jakichś swoich politycznych kombinacyj chciał słoweńskich posłów w Radzie państwa ułagodzić, umieszczając te wykłady na naszym uniwersytecie, jako słowiańskim. Otóż pomimo, że sprzyjaliśmy postulatom słoweńskim, nie chcieliśmy naszego uniwersytetu narazić na grę intryg politycznych rządu austrjackiego, a zwłaszcza stwarzać precedensu dla narzucania nam jakichśkolwiek niepolskich wykładów, czyto ruskich, czy niemieckich, czy innych, co zawsze w stosunkach austrjackich było możliwe. Pewna część, ale mniejsza, oportunistycznie myślących profesorów była przychylnie usposobiona dla tego projektu, ulegając, jako stanowczy w każdym wypadku prorządowcy, naciskowi p. namiestnika Bobrzyńskiego, ale ogromna większość Wydziału w gorących przemówieniach temu projektowi się przeciwstawiła, nie dopuszczając do jego przychylnego załatwienia: pamiętam, jak w tem odpornem stanowisku zjednoczyły się głosy nawet przeciwników dotychczasowych, jak z nami, młodszymi głosowali tacy starsi profesorowie, jak Szajnocha, Olszewski, Witkowski i inni — i projekt przepadł.

Pamiętam też z tych czasów, jak biurokratyczne czynniki ministerjalne starały się oddziaływać na nasze władze uniwersyteckie rzekomo z powodu ich łagodnego stanowiska wobec rozruchów studenckich, które miały wówczas zupełnie inny charakter i tło, aniżeli obecne.

Pamiętam t. zw. Wahrmundiadę, aferę spowodowaną, o ile dobrze pamiętam w r. 1908, zdaje się, zawieszeniem na pewien czas przez Wydział Uniwersytetu w Inusbrucku czy Grazu wykładów prof. Wahrmunda, który, zdaje się, wykładając prawo małżeńskie, dotknął nieoględnie i niewłaściwie, stanowiska Kościoła Katolickiego. To pobudziło sfery ateistyczne, masońskie, socjalistyczne i żydowskie, razem przedstawiające t. zw. postępową, wolnomyślną opinję, do gwałtownego ruchu protestacyjnego, jakoby w imieniu wolności nauki, którą przerzucono i do młodzieży tego autoramentu, na co poszła i znaczna część t. zw. postępowej młodzieży, złożonej wówczas przeważnie z socjalistów i żydów. Młodzież narodowa trzymała się daleko od tych protestacyjnych wieców i strajków. Władze nasze uniwersyteckie traktowały te wystąpienia, mimo gwałtowności odezw, ulotek i rezolucyj, łagodnie, chociaż w tej sprawie z Wiednia był robiony nacisk na nas, na surowszy *regimé* — bez żadnej potrzeby i bez zrozumienia, że ruch ten, aranżowany przeważnie przez żydów, nie ma żadnego oparcia większego w polskiej rdzennie młodzieży i musi szybko zgasnąć, co się też i stało.

Druga afera studencka, zdaje się z roku 1911, miała już lokalne zabarwienie, ale również zapalczywie aranżowana przez socjalistów, przesiąkniętych wówczas jeszcze bardziej semityzmem i przez samych żydów, zwrócona była przeciw rozpoczęciu na Wydziale Teologicznym nowych wykładów socjologji chrześciańskiej przez nowego profesora ś. p. Ks. Zimmermana, wytrawnego współpracownika w pracy spółdzielczej w Poznańskiem Ks. Patrona Wawrzyniaka. Ten fakt, że na Wydziale Teologicznym pojawia się nowy wykład dla przyszłych naszych kapłanów o socjologji chrześcijańskiej, tak wzburzył t. zw. postępową młodzież, gdzie rej wodzili żydzi, że proklamowali nawet strajk, celem, jakoby w imię wolności naukowej, niedopuszczenia tych wykładów. Tu narodowa część młodzieży uniwersyteckiej stanęła okoniem przeciw tej swoistej ingerencji w prawa wolności nauki, co oczywiście wywołało wzajemną gwałtowną walkę. Czcigodny, najlepszy ojciec młodzieży, profesor Witkowski, wraz z Senatem, znowu, widząc te zacietrzewienia, zwyczajne młodemu wiekowi, także traktował tę sprawę dosyć łagodnie, pomimo b. gwałtownych wystąpień tej „postępowej“ młodzieży, i pomimo nacisku z Wiednia i ze Lwowa, żeby gwałtowniejszemi środkami okiełznać te często nawet bardzo nieprzystojne wybryki specjalnie semickiego charakteru, bo rozumiał w swem długiem życiowem doświadczeniu, że łatwo jest wykoleić drastycznemi policyjnemi środkami młodzież, która za kilka lat zapomni nawet, w jakiem towarzystwie w czasie tych rozruchów znajdowała się, a znajdzie się potem w życiu wśród najlepszych, naukowych i narodowych działaczy.

Ileż na to miałem dowodów w ciągu mego życia, że często nawet jakiś gwałtowny odruch przywraca nagle naraz równowagę psychiczną młodzieńca, który chwilowo wyszedł z właściwej swojej kolei i że te gwałtowne właśnie odruchy znamionują zwykle szlachetniejsze charaktery młodzieży, gotowej do osobi-

stych poświęceń, a nie do hołdowania zwykłej, bojaźliwej chęci utrzymania linji karjery życiowej.

4. STOSUNEK PROFESORÓW I WŁADZ DO MŁODZIEŻY DAWNIEJ, A TERAZ

Mam głębokie, na życiowych spostrzeżeniach polegające przekonanie, że z burzliwych, awanturniczych nawet, ale uczciwych młodzieńców zwykle wychodzą uczciwi, porządni pracownicy o idealistycznem zabarwieniu, gdy ze spokojnych, biernych, najczęściej karjerowicze — a nieraz i kanalje. I to moje spostrzeżenie potwierdzali mi często ludzie, mający do czynienia wiele z pracownikami o różnej przeszłości, gdzie zawsze więcej obawiali się kandydatów o tak zwanej nienagannej przeszłości, ale biernych, jako najlepszych zwykle kandydatów na ludzi biernych, lub też nawet na życiowe kanalje, podległe każdej władzy.

W tej Zimmermaniadzie, która przeszła dosyć szybko i skończyła się w kilka lat nawet uwielbianiem przez młodzież uniwersytecką wszystkich Wydziałów świeckich, ks. Rektora Zimmermana, pamiętam ciekawy osobisty epizod, który spotkał mnie i prof. Godlewskiego (seniora), uwielbianego przez młodzież, zwłaszcza rolniczą. Zdążaliśmy obaj, pomimo ogłoszonego przez t. zw. młodzież postępową strajku wykładowego, na wykłady nasze w Studjum Rolniczem, mieszczącem się wówczas w *Collegium Juridicum*. Zastaliśmy tam obaj duży tłum tej młodzieży strajkowej, broniącej na dole w podwórzu wstępu na schody 1-go piętra; — typy były oczywiście przeważnie semickie (zdaje się, rolnicy nie chcieli brać w tem udziału), ale na górnych stopniach zobaczyłem ze zdziwieniem Iwona Moraczewskiego (który później we Wrocławiu doktoryzował z rozprawy o koniach żmudzkich), a znany mi był dobrze jako miły i kochany chłopak. Zadziwiony byłem tem, skąd ten chłopak z ziemiańskiej, wileńskiej rodziny wpadł w to towarzystwo, tak mu we wszystkiem obce — zdaje się, że postępowość przez niego wówczas żywiona, była tego chwilowym powodem — tak, że uważał, iż nie powinno być wykładów. Ale widzę raptem, że ten *borbifax*, gdy zobaczył owych żydków, nie puszczających prof. Godlewskiego i mnie na schody, nabrał wprost przeciwnego animuszu i zaczął dużym kijem okładać stojących niżej współtowarzyszy walki strajkowej, uwalniając szybko schody z tamujących przejście, tak, że mogliśmy przejść przez schody i mieć potem spokojnie wykłady, gdyż tenże Iwo zorganizował, ocknąwszy się nagle ze swej chwilowej strajkomanji, szybką obronę audytorjów na I i II piętrze wraz z innymi słuchaczami rolnictwa. Przyszedł potem do mnie i tłumaczył tę nagłą swą zmianę tem, że jak zobaczył prof. Godlewskiego i mnie w opresji przez onych semitów, niedopuszczających do wejścia na schody, to taka go wściekłość na tych semitów, współtowarzyszy strajkowych wzięła, że śmią tamować drogę prof. Godlewskiemu, iż musiał dać upust swemu temperamentowi we wprost przeciwnym kierunku.

A wiem i przypominam także sobie, że wówczas w tym strajku i ataku na *Collegium Novum*, gdzie bramy kratowe zostały przez służbę zamknięte, brało udział wielu z tych, którzy obecnie sprawują kierownicze stanowiska w Ministerstwie W. R. i O. P. i srogo patrzą na wszelkie wystąpienia młodzieży: „zapomniał wół, jak cielęciem był" — mówi dosadne nasze przysłowie i sądzę, że to przysłowie trzeba zawsze przypominać, gdy takie sprawy przychodzą, zwłaszcza, gdy często mają one za przyczynę nie urojone, ale rzeczywiste krzywdy narodowe, które zawsze młodzież musi czuć żywiej i prędzej od starszych, a kompromisów życiowych, które starsi dla spokoju zwykle lubią, nie lubi znów (i znów słusznie) tolerować, żeby nie stać się później, z nałogu życiowego, oportunistami, a spadając coraz niżej i... kanaljami.

Pamiętam jak niedawno jeden z uczonych świata, stanowiący chlubę naszego uniwersyteckiego, z ożywieniem przypominał sobie chwilę, gdy po jakichś ruskich ustępstwach ówczesnego namiestnika, należał we Lwowie do grupki, która samego namiestnika obrzuciła jajami. Opowiadając mi to, nie miał, zdaje się, żadnych wyrzutów sumienia i uważał i teraz, że postąpił wówczas dobrze, używając tak drastycznego środka.

I ten człowiek obecnie jest b. poważnym pracownikiem naukowym, używa ogólnej czci, a w stosunku do młodzieży zachowuje należytą wyrozumiałość, rozumiejąc, że trzeba zawsze rozważać pobudki, kierujące młodzieżą i zależnie od tego, czy mają one szlachetne, czy nikczemne tło, odpowiednio je oceniać. Dlatego też tylko profesorowie, współżyjący z młodzieżą, mogą być jej właściwymi sędziami, inni sędziowie, choćby najlepsi prawnicy, będą te sprawy studenckie oceniać prawniczo, ale często ze szkodą społeczną, bo mogą dotknąć często najlepszych chłopców, których można zjednać i przekonać zwykłą naganą, zwykłą analogją do innych wystąpień lepszego pokroju, a mogą okryć płaszczem niewinności lub pobłażania osobników, którzy są karjerowiczami lub kanaljami, jakby z urodzenia.

Wyroki uniwersyteckich Senatów, zwykle wysoko stawiające istotny honor młodzieży uniwersyteckiej, są najczęściej zupełnie sprawiedliwe i sprzeciwu u młodzieży nie znajdują, bo młodzież rozumie ich intencje i do nich się skłania, jeżeli są dyktowane istotnym interesem uczelni, a nie względami oportunistycznemi, zwłaszcza politycznemi ze względu na wyższe władze. Oportunistyczne wyroki będą zawsze budziły uzasadnione oburzenie młodzieży, która chce widzieć w profesorach niezależnych sędziów, pełnych godności i poczucia niezależności uniwersyteckiej.

W maju 1931 roku ogłoszony był, gdy byłem już chory, wyrok Senatu Uniwersytetu Jagiellońskiego z powodu sprowadzenia przez młodzież prorządową bojówki z poza sfer akademickich, która biła studentów narodowców, znajdujących się na sali Starego Teatru w październiku 1930 r. w czasie akcji wyborów sejmowych. Wyrok ten, potępiający sprowadzenie przez młodzież akademicką tej bojówki wywołał zadowolenie ogólne wśród młodzieży, bo był sprawiedliwy, zgodny z poczuciem jej honoru. Młodzież toleruje bójki młodzieży akademickiej, ale przyzwanie do pomocy bojówki, złożonej przeważnie z mętów społecznych, uważała słusznie za niehonorowe postępowanie, wychodzące poza zakres *fair play*, jaki powinien obowiązywać obie walczące akademickie strony. Dlatego to wyrok Senatu, potępiający wyraźnie to niehonorowe postępowanie, dał

satysfakcję uczciwej opinji publicznej. Wyrok jakiegoś sędziego prawnika z poza uniwersytetu, oczywiście, stanąłby na stanowisku jurydycznem tylko, że tych bojówkarzy nie ujęto i nie ujawniono, chociaż wszyscy o nich wiedzieli i sprowadziłby tylko dalszy zamęt moralny — jakoby tego rodzaju działalność, jeśli jest w interesie partji rządzącej, miała być z tego powodu niekaralną..

Otóż, na szczęście, biurokracja austrjacka, a za nią wówczas biurokracja galicyjska, nie ośmielała się do takich wystąpień nawet w czasie osławionych już wówczas wyborów galicyjskich, sejmowych czy parlamentarnych. Bojówki, wogóle nieliczne jeszcze, nie działały wcale na terenie akademickim, działano głównie przez nieboszczyków i przez kahały żydowskie i choć ówczesne wybory były słynne na całą Europę, to jeszcze były dziwnie łagodne i dziecinne w porównaniu do wyborów współczesnych, które się kiedyś doczekają dokładnego ocenienia i uznania.

Nie znam także wtrącania się do spraw stowarzyszeń akademickich, czy do ich wyborów ze strony Senatu, zachowującego zupełną bezstronność, a tembardziej nie wciągano w takich razach jakichś specjalnych funduszów wyborczych — te sposoby były wówczas zupełnie nieznane, a stąd i nieużywane. Byłem kuratorem w owe czasy różnych stowarzyszeń lub zebrań akademickich i nie przypominam sobie, ażebym mógł nawet interwenjować w jakimś wypadku, gdyby mi jakaś grupa była mniej przekonaniami sympatyczna, na jej niekorzyść, a na korzyść sympatycznej grupy, i mogę sumiennie stwierdzić, że żaden z kolegów kuratorów takiej sytuacji nie miał, zostawiając zupełną w tem swobodę młodzieży, która często bardzo ostro z sobą walczyła, zachowując wszakże w tej walce *fair play*, jak dżentelmani. Powiem nawet, że często sympatje moje przenosiły się do oddzielnych jednostek z grup, często mniej sympatycznych, jeżeli te jednostki swoją prawością postępowania i dżentelmeństwem górowały nad przeciwnikami, choćby mi przekonaniami bliższymi. Miałem wielu przyjaciół wśród młodzieży socjalistycznej lub radykalnej, bo żyłem często bliżej z nimi, chcąc na nich narodowo oddziałać, co dawało często po jakimś czasie dobre wyniki pod względem narodowym.

Lubiłem zawsze młodzież o pewnej tężyźnie, choćby radykałów, a niechętnie odnosiłem się zawsze do papinków i karjerowiczów, bo czułem w nich często niskie, samolubne skłonności. Sądzę, że tak samo moi koledzy profesorowie ten sam tryb postępowania mieli, bo harmonja była wtedy z młodzieżą, choć nas później rozdzielały, niestety, różne orjentacje, zwłaszcza centralno-pruska, i choć już i losy nasze się nie zeszły potem nigdy, to jednak zawsze wspominam mile tych młodzieńców, pełnych żywości i tupetu, a nie dążenia do karjery.

Pamiętam, w 1913 roku, ta młodzież zaprosiła mnie, choć „endeka" wyraźnego, na prezesa Drużyny Strzeleckiej (nie Związku strzeleckiego); pracowałem wraz z prof. Tokarzem z nimi jakiś czas, na podstawie lojalnej wzajemnej umowy, że będę z nimi tak długo, jak oni będą mogli być ze mną szczerzy i otwarci co do swych planów dalszych, a z chwilą, gdy tej szczerości nie będą mogli dotrzymać, to się w przyjaźni rozstaniemy. I tak też było, żeśmy się po jakiemś pół roku, czy dłużej, rozeszli, i mogę powiedzieć, że mam miłe dosyć o nich wspomnienie, bo nie było tu dążenia do karjerowiczostwa; a pamiętam te ranne przed 6-tą musztry na błoniach, poufne przed policją, na które chętnie dla przeglądu przychodziłem, jak maszerował wtedy na czele swej drużyny obecny inspektor Norwid-Neugebauer, jak miewałem narady drużynowe z ówczesnym jej kierownikiem, Januszem Gąsiorowskim, obecnym Szefem Sztabu Generalnego i przypuszczam, że nie pozostałem dla nich w ich myśli tylko „endekiem", ale starym profesorem, który szczerze współczuł ich ówczesnym wzlotom młodzieńczym, w najlepszej miłości Polski powziętym. I do dziś gotów jestem uszanować szczerą intencję, choćby daleką od moich narodowych przekonań, w każdym młodzieńcu, aby nie było w tem karjerowiczowstwa, polowania na posadę, zapłaconą dostosowaniem się do sytuacji, a nie wewnętrznem przekonaniem i ofiarą. Oczywiście, wyłączam tu komunistów, płatnych agentów sowieckich.

To też stosunek profesorów do młodzieży karjerowiczowskiego autoramentu musi być naciągnięty... i daleki. I każde obecne zarządzenie, idące w kierunku t. zw. „państwowego wychowania", musi jeszcze bardziej ten podział pogłębiać, inaczej być nie może, zaufania swego karjerowiczom dać nie możemy. Możemy się zdobyć na traktowanie ich jednakowe, jeśli chodzi o zdobycie wiedzy, ale serca im udzielić nie możemy, bo im nie chodzi o serce, tylko o pomoc w karjerze. Tych objawów, tak przykrych, dawniej, chwała Bogu, prawie nie było. Poziom moralny był wyższy i pomimo przeciwieństw przekonaniowych między t. zw. postępową, a narodową młodzieżą stosunki koleżeńskie między temi dwoma odłamami były zupełnie możliwe — czynnik administracyjny galicyjski nie grał w tych stosunkach żadnej roli, poza pewną obserwacją, zresztą raczej z góry nakazaną, nie miał żadnych swoich ajentów, jakkolwiek miał swoich zwykłych szpiegów, których oba odłamy młodzieży, jak mogły tępiły. Znany adres młodzieży do T. T. Jeża w 1887 r., w 50-tą rocznicę ogłoszenia Manifestu Towarzystwa Demokratycznego, przewieziony przezemnie z Warszawy do Krakowa, dla podpisów tamtejszej młodzieży i przechowywany w ówczesnej Czytelni akademickiej w Krakowie, zdradzony został przez studenta, szpiega policyjnego. Następnie przez policję krakowską został nagle skonfiskowany w Czytelni i do Namiestnictwa we Lwowie odesłany (zapewne tam w archiwach dałby się odszukać). Policja krakowska, jak się o tem przekonałem sam z badania mnie w X Pawilonie Cytadeli warszawskiej, znacznie później, w sierpniu 1891 r., zawiadomiła o tem, wymieniając moje nazwisko, jako inicjatora tego adresu, policję rosyjską, która znów zawiadomiła zaraz na jesieni 1887 r. Ministerstwo oświecenia w Petersburgu, a minister Deljanow zaraz mnie wydalił z Uniwersytetu Warszawskiego bez prawa wstąpienia do wszystkich uniwersytetów rosyjskich, *notabene* nie podając przyczyny wydalenia. Stąd więc, pośrednio, dowodnie przekonałem się o istnieniu szpiegostwa studenckiego wśród krakowskich studentów, prowadzonego przez policję krakowską.

Te policyjne metody wśród młodzieży podobno, choć się nie chce temu wierzyć, istnieją i obecnie, dalej zakażając młodzieży upodleniem. One muszą być usunięte, jeżeli istnieją, bo w wolnej Polsce są one jeszcze gorszą hańbą i zarazą moralną.

(D. c. n.) STEFAN SURZYCKI

SALON JAKO SZKOŁA

1

ZABIERAM znowu czytelnika do Warszawy zeszłowiecznej. Rozerwiemy się w towarzystwie, umiejącem bawić się towarzysko, myślącem, poetyzującem. Chciałbym pokazać na przykładzie Norwida, którym od pewnego czasu tak bardzo się zajmujemy (myśląc o nim w sposób raczej mitologiczny), ile taki artysta zawdzięcza życiu umysłowemu swego środowiska, ile zaś swojej naturze.

Poetów trzeba zapamiętywać w swojej wyobraźni takimi, jakimi byli w młodości. Potem przybędzie im zmarszczek, ale nawet przybytki z rozwoju nie zmienią ich zasadniczego konturu. W młodości poeta szuka okularów dla swego wzroku wewnętrznego i z emocją chwyta z powietrza swego (czy z książek) te poglądy, które mu przypadają do jego natury i utwierdzają go w skłonnościach. Takie nabytki mają dla niego podwójną cenę właśnie wskutek tej emocji, jakiej doznał, odnajdując siebie. Ten pierwiastek uczuciowy idei będzie cementem w jego zasadniczej postawie wobec świata, wiążącym umysł z jego istotą moralną.

Warszawa w latach 1840 — 1842 zajęta była szczepieniem filozofji na płonce poezji romantycznej. W duchu czasu leżało zrozumienie, że jednak potrzebna jest myśl dla zaprowadzenia w życiu uczuć pewnego ładu. Umysł polski szukał pożywki i, jak zawsze, czepiał się importu filozofji niemieckiej. Ciekawe było zjawisko żywotności tego umysłu, że potrafił wchłaniać z pożytkiem i na swój sposób przerabiać pierwiastki niemieckiej filozofji spekulacyjnej, sprzeczne z naturą umysłowości polskiej. Przytaczałem[1]) pisarzy ówczesnych, Dembowskiego i Kamieńskiego, dlatego, że ich pilnie czytywał Norwid i w Warszawie i w pierwszych latach po wyjeździe za granicę; ale dla objęcia wzrokiem całości tego ruchu umysłowego wymienićby należało Libelta z jego „umnictwem", ogłaszającego artykuły w „Bibljotece Warszawskiej", Gołuchowskiego z jego teorją miłości i czynu, a potem Cieszkowskiego, który potrafił heglizm podporządkować nauce religji katolickiej.

Co i w jakiej mierze dogadzało w nowych prądach naturze Norwida? Zasada intelektualnego widzenia *(Intellektuelle Anschanung)* — to była szczepionka ideowa na płonce jego artyzmu. Nastąpiło zdecydowane przesunięcie punktu ciężkości z poetyckości sensualnej na poetyckość filozoficzną, idealistyczną. Z indukcji artystycznej, prowadzącej od obserwacji do symbolu, odtąd idzie za „zmysłem idei", dedukującym każdą rzecz z założeń ideowych o absolucie[2]).

Norwid z natury nie był mocno w życiu zakorzeniony. I w życiu był także dedukcyjny. Trafnie zauważyła w nim Żmichowska pewną zwiewność, z której powodu „natura jego z otaczającemi ją żywiołami zawsze się do równowagi układać" musiała. W luźnym zostając stosunku do rzeczywistości, wytwarzał ją dla siebie sztucznie według fikcyjnych założeń. Rzeczy tworzone i w życiu i w sztuce miały dla niego wyższość w stosunku do naturalnych. Była to postawa wobec świata wskroś arystokratyczna. Żeby przezwyciężyć pospolitość, wziął się na szczudła. Na tem tle zrozumiałe się staje „porażenie filozoficzne" umysłu poetyckiego.

Bez dochodzenia biograficznego trudno byłoby zrozumieć osobliwy rodzaj twórczości Norwida i los jego.

2

Demokratyczne grono entuzjastów w mieszkaniu Skimborowiczów było dla Norwida sposobnością do wejścia w świat literacko-artystyczny. Rychło znalazł się w salonach wytworniejszych, do czego niewątpliwie dopomogły stosunki z wydawcami „Bibljoteki Warszawskiej". Od tego czasu i w Warszawie i potem zagranicą Norwid trzyma się sfery ludzi zamożnych i tytułowanych. Więc będzie salon hr. Łubieńskich, z Włodziem najbliższym przyjacielem, przyjaźń z Henrykiem Podhorskim i Władysławem Wężykiem, zażyłość zrazu z kasztelanicem Dembowskim, póki się nie poróżnią na punkcie demokratyczności, więc salony p. Łucji z Gedrojciów Rautenstrauchowej, p. Niny Łuszczewskiej, generałowej Dziekońskiej, marszałkowej Kuczyńskiej. To samo będzie zagranicą; będzie się ubiegał o stosunki z Krasińskim, z Cieszkowskim, z Koźmianem, Czartoryskim, Lubomirskim, Orpiszewskim, Konstancją Górską, Pawlikowskim i t. d.; nie będziemy go zaś widzieli w parze z ludźmi mu równymi położeniem materjalnym — z Filleborne, Wolskim, Zmorskim, Lenartowiczem, Goszczyńskim. Faktem, świadczącym o zupełnej dezorjentacji życiowej, był jego zamiar posiadania p. Marji Kalergis, „Miss-Europy", ówczesnego wielkiego świata i pościg za nią po świecie.

Możemy sobie wyobrazić, jaki był kurs Norwida w salonach między egzaltowanemi paniami, skoro w prasie tak się rozpisywano o każdem jego wystąpieniu, nawet zamierzeniu. Widzieliśmy, że notatka o litografji Piwarskiego dawała początek dyskusjom literackim, o wycieczce jego szły w świat biuletyny, wracał do Warszawy jak trjumfator, pierwszy poeta hołd mu składał, odbijający się wielokrotnem echem w tradycjach tych czasów. Malarz, krytyk, poeta, a przy tem wszystkiem młodzieniec światowy. Jedna z dam (marszałkowa Kuczyńska) opowiadała potem w Paryżu, że „znała Norwida bardzo młodym, w wieku podobno lat dziewiętnastu (-(a więc w owym roku 1841)-). Był piękny, dowcipny, artystą do szpiku kości, lecz starsze zwłaszcza damy zanadto go psuły. Nazywano go już Mickiewiczem, Słowackim..." [3])

W zbiorze pism Norwida wydawca zamieścił jego autoportret z lat młodzieńczych; jest to bardzo cenny dokument.[4]) Portreciki takie rysował piórkiem w albumach pięknych pań na pamiątkę. Znanych jest kilka. Kartka oryginału ma brzegi złocone; album był pewno woniejący. Na rzut oka widać — lew. Lwia głowa z czupryną jak grzywa,

---

[1]) Ob. „Myśl Narodowa", nr. 1 z r. 1933.

[2]) O tem, jaki wpływ wywarła filozofja niemiecka na wyobraźnię poetycką Norwida, pisałem obszernie na podstawie tekstów jego utworów w rozprawie „Gwiazda literacka—Norwid". „Myśl Narodowa" 1931, t. I, s. 278, 298 i 309.

[3]) Z listu p. Anny Norwidowej z 18.VI. 1908 u A. Krechowieckiego „O Cyprjanie Norwidzie", t. 1, s. 7.

[4]) „Pisma zebrane" (wyd. Przesmyckiego), t. C, str. 16 — 17.

ostra mała bródka. Tak wyglądać musiał Alfred de Musset. Z opowiadań wiadomo, że Norwid był niewielkiego wzrostu, ale dużą, wyrazistą miał głowę. Rysunek tej propozycji nie zaznacza. Na uwagę zasługuje opracowanie rysunkowe nóg, dobrze obutych. Widać, ile młody artysta przywiązywał znaczenia do swej osoby w życiu, żeby całość była wykończona i wytworna. Trzewiki lakierowane, getry (czy cholewki) jasne, na guziki spięte. W ustach cygaretka, wzrok puszczony w przestrzeń daleką, poeta bowiem siedzi, ująwszy rękoma kolano, na wyniosłości dokoła urwanej przepaścią, zapewne symbolizującej glob ziemski, na którym był więźniem.

Można go sobie przedstawić w salonie pp. Łubieńskich, Rautenstrauchów lub Niny Łuszczewskiej, jak wytwornie wyglądał we fraku, w paljowych rękawiczkach i z cylindrem w ręku, który się stawiało obok siebie przy krześle. Ożywiony był, naostrzony dowcipem, wiele i łatwo mówił. Rycerski dla dam, niebezpiecznym był w dyskursie współzawodnikiem. Mienił się w mowie wszystkiemi światłocieniami światowca i głębokiego myśliciela. A piękny miał głos i porywająco deklamował.

Ślad tych przeżyć salonowych i ich wzór znaleźć można w urywku nieznanego w całości poematu „Ziemia",[5]) gdzie poeta bawiąc damę „dyskusją" o zalotności, bawi się, jak kwiatem, atłasem jej rękawa, zwraca uwagę na bransoletę, ale jednocześnie — powiada:

...chwyciłem ją za marmur dłoni
I drżałem... Nie wiem, coby się już stało,
Gdyby nie pająk...

I tu znowu, jako poeta, improwizuje piękną opowieść o pająku jakimś mistycznym... I tak, mieszając zaloty z literaturą, prowadził damę do stołu, gdzie herbata podana.

— Czemu nie piszesz wierszy? — pytała dama. A on:

— Jutro więc służę sonetą
Do twych warkoczy, złotą przeplecionych wstęgą,
Lub fantastycznym jakim dramatem, gdzie będzie
Nieznany człowiek walczył z nieznaną potęgą.

I tak się toczy ów dyskurs gdzieś zagranicą, jak niegdyś w Warszawie, na tej ziemi, którą Norwid zamienić chciał odtąd na życie górne w ideach.

— Przestań! przestałem. — Postąp — postąpiłem — stała
Na progu, jak Wenera w Milos znaleziona...

I siedzi

A ta herbata była w kształtnej porcelanie,
Aromatyczna, przytem ciasto, które zwie się
Sucharek i rum białej przeciwny śmietanie...

Wiele sobie wyjaśni co do charakteru pism Norwida, kto spostrzeże, że niemal zawsze gdzieś w głębi stoi przed nim jakaś kobieta, do której poeta kieruje swoje słowa. Do późnego wieku szuka wzrokiem kobiety, do niej zwrócony jest fronton każdy jego konstrukcji słownej, każdy gest. Poezja Norwida przepojona jest jakimś niedosytem towarzyskiej potrzeby obcowania z kobietą. Nie widać względem mężczyzn przyjacielskiej wylewności. Zawsze gdzieś kobieta; jeśli nie do niej się mówi, to dla niej.

Treść filozoficzna nie jest argumentem przeciw temu spostrzeżeniu. W owym czasie! Weźmy listy Zygmunta Krasińskiego do Delfiny Potockiej— całe tomy filozofji, a przecież nie była to akademja. Czarował wymową poetycką, jak Bergerac Roksanę u Rostanda.

Uprzytomnijmy sobie postać owej Zofji z Knidos w poemacie „*Quidam*", która była więcej niż Sybilla kobietą[6]):

Była tem samem — bo czasów własnością,
Natchnieniem smaków ich — z bezświadomością.

Tamże znajdziemy cały obrządek salonowy warszawski przeniesiony w czasy klasyczne. A czyż jej improwizacja — to nie popis Deotymy Łuszczewskiej?

3

Niemało pisano o salonach warszawskich w XIX w., ale nie spotykałem wniosków, jak one działały na rozwój talentów twórczych. Wydaje mi się, iż dobry instynkt gatunku ratuje twórców od marnowania się przez to, że zamykają się w sobie, że są bojaźliwi, dzicy i chronią swoje wnętrze, zwłaszcza to, co w nich dojrzewa do wcielenia w jakieś formy, od obcego oka i wpływu. Z badań biograficznych wiemy i to, że te zamknięte dusze otwierają się wyjątkowo w poufnym stosunku z umiłowaną kobietą. Miłość jest potrzebą tych samotnych dusz; ona nie uszczupla i nie deformuje ich indywidualności, ale owszem poszerza i utwierdza, pogłębiając miłosny do świata stosunek. Normalnie, nawet rozlewniejsze natury szukają poufności, znajdując ją w przyjacielskich stosunkach, choćby t. zw. cyganie, którzy chętnie przestając z sobą, wywnętrzają się. Towarzyskość i wylewność same przez się dają się godzić ze zmysłem samozachowawczym artystów, ale w tem, co nazywamy „Salonem", jest coś więcej.

„Salon" nie jest wolnem obcowaniem towarzyskiem i to go różni zarówno od obcowania poufnego, jak i publicznego czy przypadkowego. Bycie salonowe jest uroczystością obrzędową, ulegającą prawom specjalnej sztuki. Sztuka ta, ze stanowiska psychologicznego, polega na tem, żeby człowiek, zachowując pozory swobody, oddawał się całkowicie zbiorowości według form obowiązujących. Mniejsza o te formy; jednostka przestaje tu być sobą, ma nią być zadowolone towarzystwo. Obowiązuje to każde zebranie towarzyskie, zarówno u chłopów, jak i wśród arystokracji. Najprostsza sprawa, gdy towarzystwo dla zabawy da się ogarnąć zbiorowo wykonywaniem jakiejś sztuki: tańcom, śpiewom, muzyce; wtedy zapanuje nad niem jakaś gotowa forma, w której mieści się jako tako indywidualność bez wysiłku tworzenia sztuki towarzyskiej. Ale salon literacki jest bardziej dla duszy kosztowny.

Chłop, obrany na weselnego starostę, peroruje, ale ma na to przekazany od dziadów tekst gotowy; literat w salonie warszawskim musiał być świeży, improwizował już nie tylko wiersze (gotowe), ale całe idee, jeśli w modzie filozofja. Musiał przytem być interesujący, dowcipny, czarujący dla dam, zawsze głębszy i lotniejszy od innych... Oczywiście nie jest to akademja, nie tyle chodzi o *meritum*, ile o formę. Życie towarzyskie w salonie jest sztuką, więc przedewszystkiem — forma. Dlatego salon jest szkołą pozy i retoryki, szkołą sugestywności form. W towarzystwie mieszanem, siłą dynamiczną zabawy jest mniej lub więcej ta-

[5]) „Pisma zebrane", t. A, przypisy, str. 736 i n.

[6]) „Pisma zebrane", t. A, 535 i n., 619.

jony erotyzm. Ponieważ baterje tego prądu są w rękach kobiety, więc te panują i zniewalają mężczyzn (przy współzawodnictwie) do najwyższych wysiłków artyzmu towarzyskiego. Na usługi tego artyzmu obracane bywa całe bogactwo duszy i wiedzy. Na terenie takich igrzysk intelektualnych erotyzm towarzyski szuka środków podobania się w bogactwie wiedzy choćby zdawkowej, ale głównie w kunszcie podawania tej zawartości w formie powabnej. Jest w tem objaw podobny do tokowisk wśród ptaków, postrojonych ku temu od przyrody w piękne pióra. Na tem tle rodzi się artyzm, znajdujący dla siebie powab w samym kunszcie, praktykowanym bezinteresownie dla samej sztuki. Trening artystyczny tego rodzaju wchodzi w krew i staje się nową naturą człowieka, naturą wtórną, opartą n a p o z i e.

Skala życia umysłowego w ówczesnej Warszawie literackiej nie była wysoka, jednakże dla młodzieńca z czteroklasowem wykształceniem utrzymanie się na poziomie umysłowym takich pań, jak Narcyza Żmichowska albo Eleonora Ziemięcka wymagało sporego wysiłku i niejako życia ponad stan. Małemi środkami trzeba było dochodzić do należytych rezultatów. To, czem dla niego kiedyindziej, w normalnych warunkach, byłby uniwersytet, tutaj był salon.

Gdy czytamy utwory poetyckie Norwida, nie możemy nie spostrzec, że tam, gdzie jest obraz życia, to punktem środkowym rzeczy jest kobieta. Nie było w Polsce poety, któryby tak fachowem okiem artysty patrzał na kobiety. Jeśli niema kobiety, to utwór tak brzmi, jakby go Norwid czytał kobiecie. Jeśli niema erotyzmu, to postawa poety jest taka, jakby liczył, że odbiorcą jego i sędzią jest kobieta w salonie, pozostająca pod magją słów i dla akcentów męskich chętnie rezygnująca z pojmowania treści. Pierwiastek żeński, który tak wybitne piętno kładł na umysłowości warszawskiej z czasu panowania nad nią kobiet, wyrażał się nie tylko w tem, co było w sztuce słodyczą i przymileniem, lecz także w kontraście męskości, drażniącej kobiety zawrotną głębią sytuacyj myślowych i wręcz — niezrozumiałością.

4

Wiele kłopotów miał z tem Norwid potem zagranicą, gdy wypadło się mierzyć z „wielkoludami" literackiemi, którzy mu ciążyli, i w zetknięciu z pisarzami klarownej myśli, których uważał za popularyzatorów tylko. A przyczyną tych nieporozumień, jakie miał z sobą samym, było według mnie, że zbytnio liczył na tę magję słowa, która jest magją tylko towarzyską, mającą znaczenie tylko w owej „sztuce sztuk", jaką jest kunszt bycia w salonie. Każda sztuka ma swoje własne środki wyrazu, Norwid literaturę tak spoił z naturą dyskursu towarzyskiego b e z p o ś r e d n i e g o, rozporządzającego całym splotem środków odrębnych, że słowo literackie traciło u niego swoją samoistność. Pisząc, w duszy deklamował, obliczał efekt nie po literacku, że ktoś będzie to czytał sam na sam z papierem, lecz że będzie słuchał. Tem się tłumaczą tak częste w jego autografach podkreślenia, któremi znaczył naciski deklamacyjne, owa kabalistyka typograficzna, mająca w sobie coś z pisma nutowego. Utwory przez niego samego czytane robiły wielkie wrażenie, gdy potem w czytaniu efektu nie robiły i wydawały się niezrozumiałe.

Dla artysty pisarza, już ze względu na samą technikę artystyczną, szkoła deklamacji salonowej nie jest korzystna. U poety tekst mówi od siebie do czytelnika, tymczasem Norwid, tworząc muzycznie, zaniedbywał formę pisaną. Przyznał to wydawca jego pism Z. Przesmycki: „Na zewnętrzną szatę utworów swych, (na) słowo pisane, zupełnie nie zwracał uwagi [7]". Przesmycki miał na uwadze ortografję Norwida, który — jak sam wyznawał — „pisał jakby mówił", więc i pisownia była fonetyczna. Ale i myśl sama inaczej jest formowana mownie, w tej formie zaś podana na piśmie może być niezrozumiała, skoro dajmy na to wszystko zależało od intonacji głosu. Stąd takie przykre dla autora nieporozumienia, jak z owym odczytem w Paryżu z r. 1869 p. t. „Rzecz o wolności słowa". Władysław Mickiewicz, który był na tym odczycie, stwierdza, że wykład ten zrobił na audytorjum ogromne wrażenie. Ale gdy ta sama rzecz niebawem wyszła w druku, nastąpiło ogólne rozczarowanie. Zapytywano: „Jak to? to ma być to samo?" [8])

Sam Norwid tego nie mógł pojąć, dlaczego to się dzieje. W jednym z listów, w r. 1850, przyczynę upatruje w tem, że się wyobcował ze społeczeństwa, które już inny ma język. Ale zaraz przytacza fakt, że i na emigracji go nie rozumieją: „Najznakomitsi pisarze, a nawet więcej niż nasi tylko, bo *urbi et orbi*, jak np „Irydjon" (— (Krasiński) —) albo August C (ieszkowski), co od tylu czasów na mnie p i s a n e g o krzyczą, nigdy przecież w m ó w i e n i u nie znaleźli mnie niezrozumniałym" [9]).

W salonie zawsze go rozumiano. Bo o cóż tam chodziło? O krytykę „krytyki" Kanta, o dociekanie mądrości Sokratesowej? Salon—to rozłożona na głosy muzyka dusz — to retoryka, deklamacja, to zresztą fortepian, śpiew, taniec. Wspólnym mianownikiem praktyk salonu jest muzyka. Sztuka salonowego bycia oparta jest na nastroju życzliwego słuchania i wysiłku improwizacyjnym nadawania tonu tym nastrojom, to dyletantyzm i eklektyka, to wdzięk i koturn. Wdzięk jest pierwiastkiem żeńskim, koturn (poprostu szczudła) męskim. Jak wesele chłopskie, czy dożynki zamieniają się przy odpowiedniem nastrojeniu dusz na operę i balet, tak i salon. Conajmniej pięć dni w tygodniu elita umysłowa warszawska brała czynny udział w takiej sztuce operowej. Dla natur, niepogodzonych dokładnie z rzeczywistością — dla kobiet egzaltowanych, dla takiego Norwida, żyjącego na serjo iluzją, — świat stawał się tylko pozorem, znaczonym hieroglifami i dającym się oceniać tylko ze stanowiska estetycznego. Tu już potrzebna była filozofja, a w niej jakiś system estetyczny, wszystko tłumaczący, jakieś połączenie sztuk wszystkich w każdej duszy, aby człowiek był prawdziwym twórcą na szczycie dzieł ludzkich. Salon stawał się szkołą praktyczną nauki Schellinga, Norwid profetą nowego porządku estetycznego świata, opartego na zasadzie, że „piękno nie jest to, co się podoba, lecz to, co się powinno podobać".

---

[7]) „Pisma zebrane", t. A, 722.

[8]) St. Cywiński w „Wyborze poezyj" Norwida. Bibl. Narod., str. 234.

[9]) Józef Ujejski. „Listy Norwida do A. Cieszkowskiego i Z. Krasińskiego", s. 32 (przypisy).

Muzyka świetniejsze miała w Warszawie tradycje, niż malarstwo, bo tu na świat przyszedł Szopen. Imieniem Szopena znaczono wszystko, co o sztuce myślano. On „naczelnym u nas jest artystą". „W Polsce od grobu Fryderyka Chopina rozwinie się sztuka, jako powoju wieniec, przez pojęcia nieco sumienniejsze o formie życia, to jest o kierunku dobra i prawdy. Wtedy artyzm się złoży w całość narodowej sztuki" [10]).

Jeżeli zaś chodzi o artyzm samego Norwida, to należy dużo złożyć w jego wierszu na karb przejęcia się muzyką Szopena. Skoro w myśleniu Norwida, emocjonalnem na wskroś, cała waga leżała w tonie, w owem „zachwyceniu" ku niebu, to poczucie artystyczne podporządkowywać musiało sprawę rozumienia — sprawie brzmienia, melodyjności i tonu. Nie brak śladów, że Norwid czynił próby (tak jak Lenartowicz) robienia z wiersza muzyki naśladującej Szopena. Później, jako Bogumił, miał pewne wątpliwości, czy Szopen nie „tłumił prawdy", aby „łatwiejszy poklask zyskać sobie", to znaczy miał wątpliwość, czy Szopen nie zabijał w sobie prawdy na to, aby być zrozumiałym, przystępnym i podobać się. Ta wątpliwość przyszła później, kiedy wszelką łatwość „pieśni kalinowych" poczytywał za „poezję ziemi", z której się wyzwolił w dążeniu do prawdy... W tej wątpliwości szukał usprawiedliwienia swego grzechu niezrozumiałości. A jednak, wzruszenie na myśl o fortepianie Szopena (1863—1865) świadczy, jak głębokie przeżycia wiązały go z tym twórcą. Norwid był poetą, ilekroć budziły się w nim głębokie uczucia, które na chwilę zestroiły myśl niespokojną. Był zawsze wtedy poetą, kiedy (jak w „Promethidionie" lub z powodu Szopena) wspominał Warszawę z czasów młodzieńczych:

Oto — patrz Fryderyku! — to Warszawa:
Pod rozpromienioną gwiazdą,
Dziwnie jaskrawa.
Patrz organy u Fary, patrz twoje gniazdo...
I Zygmuntowy w chmurze miecz!

ZYGMUNT WASILEWSKI

[10]) „Promethidion". Epilog, w. 44—49.

PIEŚŃ NIEUŻYTKÓW

I

Gospodarzu! Dotknięte klęską jałowizny
z roku na rok marniejem, marniejem.
Porastamy łopianem, ostem i szalejem,
własną wzgardą zgorzkniałe, my — ongi grunt żyzny.

Od was wiemy, że w świecie wyschły czarnoziemy,
nowy plon z ciężkich trudów się rodzi.
Pocóż zwlekać? zacznijcie! Gotowe my, chcemy!
Czas stracony okrada nas z dumy, jak złodziej.

Chwasty? Ich się nie boim. Toż zacznie się zasiew,
gdy w nas będą, w swe groby, worane.
Nasz los waszym jest losem. Wszystko z nami da się
zrobić, lecz trzeba robić! Możem być łanem!

II

...A tymczasem z nas żyją
powiedzmy, niezgorzej nawet, bo tyją
stateczny kaczor i gąsior dostojny,
bardziej do urazy skory, niźli do wojny,
i baran
ideał owiec
niesłusznie baranią opinją pokaran,
uradowany sobą samym dudek,
gawron rozsądny, urodzony sztabowiec,
kruk, zwątpień pełen, defetysta ponury,
ex-kogut, dzisiaj kapłon i wierne jemu kury,
a w tem zacnem gronie
najzacniejsze, pogodne, z losem pojednane,
naprawdę kochane,
woły i stare, zasłużone konie
z pokoleniem źrebiąt (zuchy, lecz wałkonie!).

Ah, prawda, jeszcze indor myśliciel,
jedyny intelekt, który rozumie życie,
mędrzec pechowy
z powodu stale zagrożonej głowy,
przewidywacz, bystry bardzo...
I oto ono,
całe to grono,
wszyscy,
nam niby tacy blizcy,
zabawna to rzecz — nami jednak gardzą!

Za co? Za to, że nam, nieużytkom,
ani kapusta się nie rodzi, ani żytko,
ani chmiel. Taki baran, naprzykład,
ilekroć ma mieć wykład,
zawsze bywa heca,
że oto on, baran, (tsss! świat nie wie o tem!),
umysł swój musi podniecać krajowym, swojskim blekotem.
Skąd my mu urodzim kawę, albo wino?
I tak nam dni szare i swarliwe płyną.
Gospodarzu, rozsądź i sam powiedz
temu gronu indorów i owiec,
że, juści, nie jesteśmy ziemią lwów
i że w tem właśnie bida-ć,
że ziemia, owszem jest, ale lwów nie widać.
Lecz co tu wzywać lwów!
Przydałoby się chociaż jedno mocne psisko,
coby nie żałowało kłów,
gdy koło tego stadka, tuż obok, całkiem blizko
szkodniki-dziki ziemię ryją,
folgę dają ryjom,
nie bacząc na indora grozę malowniczą,
ni na to, że owce beczą, woły bojowo ryczą
rzeźnikiem grożą (nie sobą!) i jatek życzą,
i wróżą szkodnikom wymyślne męczarnie —
— dziki bezkarnie
ryją i tuczą
racją się kaduczą.

III

...Nam za mało być ziemią baranów poczciwych,
kretowiskiem, wyg różnych wygonem.
Nam się śni męka orki, wschód ziarna, dreszcz niwy,
puste łono nam szarpie głód plonu.

Stała jesień na polach, jak okręt na redzie,
oto z niczem odpływa w głąb zimy,
Wróci. Może naprózno? I tem się męczymy,
bo bez siejby wam niwą nie wzejdziem.

Z martwą rolą gdzieindziej już walczą oracze,
zgrzyta pług po zarytych granatach.
Straszna rzecz: my, choć martwe, głos słyszymy przeznaczeń,
iż to w nas się marnuje sens świata.

WACŁAW FILOCHOWSKI

NA WIDOWNI

Szaja potępia średniowiecze. — Czy epoka nasza ma prawo do pyszałkowatości. — Nowy stosunek do Wieków Średnich. — Objaśnienie go na przykładzie sprawy żydowskiej.

JEDEN z bardziej „miarodajnych" i niewątpliwie wpełni świadomy celu propagator zniesienia autonomji szkół wyższych, p. Szaja Stupnicki, na łamach żargonowego „Momentu", temi słowy uzasadniał wartość cywilizacyjną projektu p. ministra Jędrzejewicza:

„Wolność akademicka była produktem średniowiecza i była na miejscu, gdy nie istniała wolność obywatelska; gdy nie wiedziano o wolności słowa, wolności myśli... Natomiast nie jest ona potrzebna w krajach o wolności konstytucyjnej. Tu przywilej jest pozostałością średniowiecza i staje się szkodliwym dla wolnego społeczeństwa.

Walka z autonomją jest częścią walki przeciw resztkom średniowiecza, które jeszcze pozostały".

Pomińmy sprawę naszej „wolności konstytucyjnej", zwłaszcza sprawę „wolności słowa": bezpieczniej nie rozpisywać się o tych rzeczach ze względu na cenzurę. Niezawodnie słuszność ma p. Szaja Stupnicki, twierdząc, iż walka przeciw wyższym uczelniom — to walka z „pozostałościami średniowiecza", tak jak słuszność zupełną miał p. Icek Grynbaum, gdy, chwaląc sobie rządowy projekt ustawy akademickiej, oświadczał z mównicy sejmowej: „Doskonale zdajemy sobie sprawę z tego, że jest to zamach na wolność uniwersytetów, na wolność wyższego nauczania..." Nikt nie przeczy, iż średniowieczu początek swój zawdzięczają takie ogniska wiedzy, jak: Sorbona, Bolonia, Oxford, Kraków, Heidelberg, Praga... Nikt nie przeczy, że na nich, i na ich tradycji wzorowane jest całe wyższe szkolnictwo w krajach europejskiej cywilizacji...

Ideologja p. Szaji Stupnickiego, domagającego się niszczenia „resztek średniowiecza", ma dziś u nas, jak wiadomo, wykonawców gorliwych i skorych do czynu. Karami administracyjnemi (na szczęście, unieważnianemi przez sądy) tępi się takie „pozostałości średniowiecza", jak Szczerbiec Chrobrego. Z kolei zamierzone jest pewnie wkrótce zburzenie Wawelu, katedry gnieźnieńskiej, barbakanu krakowskiego, ratusza toruńskiego i t. d. i t. d. Właściwie wypadałoby zlikwidować całą Polskę, która przecież wywodzi się z Wieków Średnich, jako państwo i jako naród. Taki „produkt średniowiecza", jak język polski, zastąpiony byłby nowoczesnem „esperanto".

Ale właśnie im lepiej zaczynamy zdawać sobie sprawę, jak wielki i jak bezcenny jest ów wkład średniowiecza w całokształcie naszej współczesnej kultury, tem powszechniejszy i tem bardziej świadomy rodzi się opór przeciw pomysłom wyzbywania się tego przebogatego dziedzictwa. P. Szaja Stupnicki jest dość zapóźniony, jeśli przypuszcza, że nazwanie jakiejś idei czy instytucji „średniowieczną" wystarczy dla skompromitowania jej w oczach ludzi, rozumiejących ducha czasów, które nadchodzą. To, czego doświadczamy w chwili obecnej i co oglądamy dookoła, uczy nas, przynajmniej, skromniejszej, niż doniedawna, postawy, jeżeli chodzi o stosunek do przodków naszych i ocenę pozostawionej przez nich puścizny. Rozumiemy, iż pokolenie, którego duch wyraził się w architekturze Banku Gospodarstwa Krajowego w Warszawie, nie ma powodu wynosić się zbyt dumnie nad generację, co potrafiła wybudować Kościół Marjacki. Czujemy, iż nie byłoby sensu patrzeć z wyższością na epokę Jana Długosza, ponieważ los pozwolił nam żyć w okresie dziejowym, który wydał Marcelego Handelsmanna. Sądzimy, iż posiadając męża stanu w sutannie, jakim jest x. wiceminister Żongołłowicz, niewłaściwe byłoby zadzierać zbytnio nosa, zestawiając dobę tę raźniejszą z czasami kardynała Oleśnickiego.

I nadchodzące pokolenia coraz żywiej odczuwają to, co rozumiał Norwid, kiedy pisał w poemacie „Rzecz o wolności słowa":

„Bawi mię, gdy dziennikarz albo publicysta
Klnie średniowieczną ciemność, z której wciąż korzysta;
Ta ciemność musiała nieźle być użyta,
Gdy się jak świeca topi, a przy niej się czyta!
Ciemnota! — która mimo niezgrabne praktyki,
Stworzyła arcydzieła — stworzyła języki!"

Rzecz zrozumiała, nie chodzi tu o jakieś sentymentalne, sztuczne odtwarzanie minionej epoki, mimo całej jej barwności i piękna, tembardziej nie o powrót do jej przesądów i błędów. Zarzuty takie byłyby już zbytniem ułatwianiem sobie polemiki, a w każdym razie świadczyłyby o niezdolności uchwycenia istotnego znaczenia zmiany, jaka się dziś w ocenianiu dorobku średniowiecza dokonywa. Nie powtórzenie raz przyjętych form jest tutaj hasłem, ale organizowanie życia nowego na zasadach, zgodnych z Prawdą i zdrowym rozsądkiem, które zawsze jednako obowiązują, a o których często pamiętano w Wiekach Średnich, zapomniano zaś niejednokrotnie w czasach późniejszych.

Ponieważ uwagi te nasunęły się w związku z tradycją autonomji szkół akademickich, tak autorytatywnie potępionej dziś przez p. Icka i p. Szaję, nie od rzeczy będzie może unaocznić myśl wyżej wyłożoną przykładem, z tej właśnie dziedziny spraw zaczerpniętym. W pamiętnym przywileju Władysława Jagiełły z r. 1401, zawierającym „wolności nadanie" świeżo właśnie powołanej do życia krakowskiej wszechnicy, obok rozlicznych swobód, udzielonych żakom, zwłaszcza w zakresie urządzenia ich stosunków wewnętrznych (mocarstwo Jagiellonów nie lękało się panicznie niebezpieczeństw, grożących mu ze strony stowarzyszeń studenckich) znalazł się również przepis następujący:

„Też obiecuiemy naznaczyć przerzeczonym Studentom... żyda w Krakowie, który będzie miał dostatek pieniędzy ku pożyczaniu im na zastawy, a ten od grzywny nie więcej na Miesiąc będzie lichwy wyciągał, iedno ieden grosz".

Otóż dziś nie byłoby żadnej racji wskrzeszać pod tym względem form średniowiecznych i nikt nie myśli o „naznaczaniu" jakiegoś specjalnego żyda na użytek studentów, celem zapewnienia im kredytu. Dziś tę funkcję, ku powszechnemu zadowoleniu, spełniają na wyższych uczelniach Bratnie Pomoce.

Ale co jest żywotne w tej tradycji i co zawsze w równym stopniu jest aktualne, to ten zdecydowany pogląd Średnich Wieków, że jedynem miejscem dla żyda przy uniwersytecie może być stanowisko „bankierza", owa słuszna niewątpliwie zasada ogólna oddzielenia zamkniętej w sobie społeczności żydowskiej od wewnętrznego, duchowego zwłaszcza, życia narodów chrześcijańskich. I znów nie chodzi tutaj o takie albo inne formy, szczegóły mogą ulegać zmianom w zastosowaniu do nowych warunków. Nie będziemy się zbytnio spierać, czy żydzi mają mieć w ubiorach łaty czerwone, jak przepisywały nasze ustawy synodalne z r. 1279

czy nosić czapki żółte, jak nakazywał Statut Zygmunta Starego, czy też mamy tenże sam cel, w czasach dzisiejszych, osiągnąć przy pomocy środków bardziej precyzyjnych, podobnych raczej do wysuwanych ostatnio pomysłów niemieckiej partji narodowo-socjalistycznej: obowiązku oznaczania na wyrobach i towarach żydowskich ich pochodzenia, obowiązku ujawniania każdej rzeczy, drukowanej czy wydawanej przez żyda, jako żydowskiej (przy zakazaniu żydom ogłaszania czegokolwiek bezimiennie albo pod pseudonimem), zabronienia ukrywania swego żydostwa w wolnych zawodach itp. Zasada pozostaje niezmienna: udaremnianie wciskania się żydów wewnątrz społeczeństw europejskich, zachowanie czystego typu swojej cywilizacji.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

„O RECENZENTACH R. DMOWSKIEGO" — pod tym tytułem ukazał się przed kilku dniami (3.I) w wileńskiem „Słowie" obszerny artykuł p. Adolfa Bocheńskiego. Autor niewątpliwie jest publicystą młodym: na p. Mackiewicza, którego inni (snadź pochopnie) obwiniają o niedojrzałość, patrzy jak na instytucję, jak na akademję polityczną. „Będąc członkiem szkoły St. Mackiewicza..." pisze — a więc można mówić już o takiej szkole! Mimochodem, zauważmy bezstronnie, że w szkole tej nie kładziono nacisku na naukę dobrej polszczyzny (ale, na dobrą sprawę, któraż gazeta szkoliła w tej umiejętności?). Ma się rozumieć, nie o prowincjonalizmy chodzi, lecz o nierozumienie ducha języka. „Członkiem szkoły", to nie prowincjonalizm wileński, to zła polszczyzna. Tak w Wilnie nie mówią. Nie chcemy kierować tych uwag specjalnie pod adresem p. Bocheńskiego: pisze bądź co bądź mniej nieporządnie od p. Cata. Na rozstrój polszczyzny zwracamy dlatego uwagę, że wszyscy prawie piszący w najmłodszem pokoleniu używają języka zepsutego i po swojemu do dalszego zepsucia się przykładają. Zawiniła w tem nietylko „szkoła" pracy w dziennikach, ale przedewszystkiem szkoła, w której otrzymali maturę. Nie wyczuliła im dostatecznie ucha. Myśl o tem, jak złu na przyszłość zaradzić, zaprowadziłaby daleko; tu chcemy tylko zająć się wiadomym artykułem, jako próbką myśli młodego pokolenia wileńskich „konserwatystów". Czy na dobro tego pokolenia zapisać można i to, że autor umie napisać dłuższy artykuł polemiczny w tonie przyzwoitym? Wątpliwe: pod tym względem młoda „sanacja" odziedziczyła przecież niespołeczne obyczaje starej. Poprawa może się jednak zaznaczyć, jeśli pójdziemy ku normalizacji życia. Czy wczytanie się pilne w książkę Dmowskiego również uważać można za wyraz gustu indywidualnego? Chyba nie; tu p. Bocheński jest przykładem powszechnego w młodem pokoleniu zainteresowania książką o „Świecie Powojennym i Polsce". Żadna inna nie była tak czytana. Żadna inna nie odsłoniła tak rozległych widnokręgów, nie olśniła taką nowością perspektyw. Sukces zaś zdobyła tem zupełniejszy, że w nadmiernie, nad wyraz, ubogiej naszej literaturze politycznej nie miała rywali. Jak dotąd, nie nagromadzono prawie wcale w piśmiennictwie własnej wiedzy o świecie. Nienormalna to luka. Głos p. Bocheńskiego ciekawy jest właśnie, jako wywołany przez książkę Dmowskiego oddźwięk z kół młodej kresowej inteligencji, które oświatę polityczną czerpały głównie ze „Słowa". Z uznaniem podnieść trzeba pewną samodzielność umysłową autora. Pisząc o recenzentach Dmowskiego, jeśli u którego natrafił na jawne głupstwo, nie wahał się zdyskwalifikować, choćby wypełniało całą książkę. Tak np. co w broszurze swej napisał Rzymowski, „to już nie jest żadna polska polityka, to już nie jest żadna logika... Dlatego przestają się zajmować wywodami politycznemi p. W. Rzymowskiego", co nie jest zapewne tak banalnie proste i łatwe w stosunku do pisarza, który, o dziwo, w oczach recenzenta „jest bezsprzecznie doskonałym znawcą języka polskiego i świetnym stylistą. O ile chodzi o formę, to książeczka jego (Rzymowskiego) w zupełności dorównuje podobnym pracom francuskim". Niestety! We Francji tak źle pisanych prac chyba nie bywa. Przegląd tego, co w publicystyce „nieendeckiej" pisano o książce Dmowskiego, doprowadził p. Bocheńskiego do wniosku, że nikt nie podjął się polemiki serjo z jej tezami politycznemi. Próba, jaką podejmuje w tej mierze p. Bocheński, mówi coś o tem, jak mała grupka inteligencji, skupiająca się przy wileńskiem „Słowie", zastanawiała się nad światem powojennym. Przyrost ludności w Polsce? Według obliczeń recenzenta nie daje nam w rzeczywistości przewagi nad Niemcami. „Tak więc corocznie stosunek ilości Polaków do ilości Niemców polepsza się na naszą korzyść o 100 tysięcy ludzi. Gdybyśmy teraz wzięli pod uwagę najlepszą ewentualność, t. zn., iż stopa ta pozostanie niezmieniona, to w ciągu 20 lat ilość Polaków w stosunku do Niemców powiększy się o 2 miljony. Polepszenie to będzie wręcz rozpaczliwie znikome w porównaniu z ogólnym stosunkiem ludności: 30 — 70 miljonów". Pomińmy te ostatnie cyfry, choć błędnie są wyprowadzone.

Autor nie zastanowił się nad tem, że po 20 latach dotychczasowej nadwyżki liczba mężczyzn w wieku lat 20—25, będzie w Polsce już przynajmniej o 300.000 większa, niż w Niemczech, mimo ich znacznej jeszcze ogólnej przewagi liczebnej. Tak doniosłe konsekwencje praktyczne wynikają z tezy Dmowskiego, że „na korzyść Polski działają takie siły żywotne, iż nawet najgorsza polityka nie jest w stanie zahamować ich działania". Recenzen, nieprzyzwyczajony do obrazu nowych widoków, otwierających się przed Polską, nie dostrzegł, że chodzi tu o coś ogromnie realnego. Podobnie nieprzygotowany był do przyswojenia sobie tezy Dmowskiego o rozwoju zdarzeń na Dalekim Wschodzie. I to też charakterystyczne. Wszystko, co Dmowski napisał o Chinach, o niebezpieczeństwie dla przyszłości Rosji w Azji, choć z pewnością uważnie czytane, nie osadziło się wcale w świadomości. „Cała polityka zagraniczna narodowej demokracji, cały program anty-niemiecki, anty-ukraiński, filoczeski opiera się na iluzji. Iluzją tą jest wiara, że linja ekspansji rosyjskiej nigdy nie wróci do Europy, iż na wschodzie nie będzie nic nowego...". „Chwila, w której nadzieja na zrewolucjonizowanie Azji ulegnie bankructwu i w której polityka rosyjska powróci do nadziei zrewolucjonizowania Europy,.. będzie chwilą kryzysu narodowo-demokratycznej polityki w Polsce. Wówczas dowodnie pokaże się, czy te „wielkie i nieuchwytne siły" rzeczywiście działają na korzyść Polski". — Jakież nowe są te zagadnienia azjatyckie dla umysłów naszej inteligencji! Nie o *fiasco* propagandy bolszewickiej

w Azji przecież chodzi, ale o niebezpieczeństwo w Azji dla Rosji. Tem niebezpieczeństwem, wynikającem z dążeń ludów azjatyckich do przyswojenia sobie urządzeń technicznych Europy, i reorganizacji polityczno-wojskowej, szczególnie groźnem przy odrębności ich psychiki, w niejednem dającem im wyższość nad Europejczykami,—całem tem kapitalnem zagadnieniem polemista nie zajął się wcale. Zbyt duże było, żeby je już dziś mógł zauważyć.

JAKI ROZSĄDNY I LOJALNY WYDAĆ SIĘ MUSI głos p. Bocheńskiego przy artykule starszego publicysty, p. Ignacego Matuszewskiego w niedzielnej „Gazecie Polskiej" („Jednostronne pakty", z 15. I). Na tych dwóch próbkach publicystyki sanacyjnej zaznaczyła się jednak różnica dwóch pokoleń i dwóch poziomów. Artykuł p. Matuszewskiego dobrze uprzytomnił, jak trudno politykowi ze starszego pokolenia „sanacji" odezwać się i nie powiedzieć zupełnej niedorzeczności. Obraża to rozsądek młodszych i wywoływać musi coraz większe zniecierpliwienie. Starsi dali swoją polityczną miarę. Zawdzięczamy im ten rozstrój polityczny, w jaki popadła Polska. Więcej od nich spodziewać się nie można. W szczególności nie można oczekiwać, że doprowadzić potrafią do normalizacji życia. Tłoczą się wprawdzie na widowni politycznej, wypełniając ją i zasłaniając perspektywę. Ale przy pomocy artykułów takich, jak p. Matuszewskiego, łatwiej sobie zdać sprawę, jak dalece są już „skończeni". W warunkach dzisiejszych znikło całkiem w publicystyce sanacyjnej pojęcie odpowiedzialności za to, co się pisze i głosi. Selekcja dokonywa się tam *in minus*. Skutek jest ten sam, czy publicysta sanacyjny napisze niedorzeczność, czy coś z sensem. Nadal pozostaje naczelnym publicytą i t.d. Podobnie rzecz się ma we wszystkich dziedzinach polityki. Niema współzawodnictwa z innemi stronnictwami i niema odpowiedzialności. I na naczelnem miejscu, w organach półurzędowych, możliwe są takie artykuły, jak p. Matuszewskiego „Jednostronne pakty". Jest to bzdura poparta sfabrykowanemi cytatami. Bzdura polega na tem, iż autor zarzuca „endecji", iż okazała... zdolność przewidywania; że piórem najwybitniejszego publicysty nakreśliła w 1908 r. program, który urzeczywistniły dopiero pakty polsko - rosyjskie o nieagresji z przed kilku miesięcy. Dmowski na 25 lat zgóry odgadł bieg prądów dziejowych; pisarzowi sanacyjnemu to właśnie wydaje się śmieszne, że ktoś mógł swój czas myślą wyprzedzać i wytyczać linje polityki na tyle lat naprzód. Wiele można złożyć na karb pierwotności politycznej obozu, który zdolnością przewidywania się nie popisał i musiał z opóźnieniem doganiać wypadki. Ludzie „sanacji", jak wiadomo, całą swoją politykę zasadzali doniedawna na przypuszczeniu, że Rosja jest i pozostanie najgroźniejszym wrogiem Polski. Dopiero obrót zdarzeń skorygował te rachuby. Obóz, który wyszkolił p. Matuszewskiego, nie przyzwyczaił go do wysiłków przewidywania; a jednak ta naiwność, z jaką publicysta sanacyjny odkrywa, że ktokolwiek wyprzedza swój czas myślą i wysuwa pewne tezy jednostronnie, jest szczególnie kompromitująca. — Wspomnieliśmy o sfabrykowanych cytatach. Istotnie, p. Matuszewski pisze: „Nie przeczymy, że od lat 25 „narodowa demkokracja" twierdzi, że bez „oparcia o Rosję" niepodległość nasza „będzie fikcyjna". Nie wyjmuje tych twierdzeń z cytowanej książki Dmowskiego „Rosja, Niemcy i kwestja polska". Za kim przytacza? Za nikim. Przeinacza dowolnie. Ale właściwie cały sens wywodów jest w zdaniu: „Mówić w r. 1908 to, co się mówi dzisiaj, to było nietylko haniebne, to było także niemądre", — a raczej w następnem, gdzie przechodzi się do wymysłów: „Łudzili się bowiem narodowi demokraci, przypisując narodowi tę samę bierność i uległość, którą znajdowali we własnem, płyciutkiem sumieniu". Czytając te brednie, widzimy, jak Polska potrzebuje młodych. Publicyści czterdziestoletni z obozu „sanacji" są już za starzy. Zdolni są tylko powtarzać głupstwa, których nauczyli się przed laty dwudziestu.

RABIN THON WYSTĄPIŁ, JAK WIADOMO, PRZECIWKO BISKUPOM LWOWSKIM, atakując ich za to, że okazali serce młodzieży polskiej po tragedji zabójstwa ś. p. Grotkowskiego. P. Thon autorytatywnie wyjaśnił, że czyn episkopatu lwowskiego był niezgodny z ewangelją. Przeciwstawia mu inne wystąpienie, któremu udziela całkowitej aprobaty:

„...Obrażone i poniżone człowieczeństwo czekało na jakieś prawdziwe słowo ze strony polskiej elity, a ono nie przyszło. Aż nareszcie odezwał się ks. prof. Szymański i nazwał rzecz po imieniu. Nie robił polityki, tylko udzielił głosu zgnębionemu sumieniu. Za to słowo wybawienia — cześć autorowi".

Czem zasłużył sobie ks. prof. Szymański na cześć rabbiego Thona? Jak podaje „Nasz Przegląd", zamieścił w miesięczniku „Prąd" artykuł, w którym zastanawia się m. in. nad kwestją, czy duchowni powinni byli odprawiać publiczne modły za spokój duszy ś. p. Grotkowskiego. Uwagi jego brzmią podobno (nie mamy pod ręką „Prądu", tylko „Nasz Przegląd" z 30. XII 32 r.) tak:

„...Ci, którzy mówili młodzieży tylko o zachowaniu spokoju, nie stanęli na wysokości swego powołania; zła nie nazwali złem. Raczej mówili—macie wprawdzie rację, ale dajcie już spokój.

...Zachodzą niekiedy okoliczności, które sprawiają, że moment uboczny, manifestacyjny i polityczny, przeważa nad modlitwą, albo nawet zamienia nabożeństwo na środek dla rzeczy, potępienia godnych. Wtedy należy odmówić publicznego nabożeństwa.

Można było postawić pytanie, czy należało odprawiać publiczne nabożeństwa za zabitego ś. p. studenta Grotkowskiego. Najpierw był on zamordowany w okolicznościach, które, według doniesień prasy, t. j. tego, co wiedziała i wie dotychczas opinja publiczna, nie zasługują na pochwałę. Powtóre, była zbyt wielka pokusa, aby takie nabożeństwo wziąć za jeden z punktów programu odwetowego".

Ostatni ustęp podaje „Nasz Przegląd" tłustym drukiem:

Nie będziemy rozstrzygać, ile w takiem łączeniu nabożeństwa i rozruchów antyżydowskich jest lekkomyślności i bezmyślności studentów, a ile przewrotności i złej woli przywódców. Wystarczy podkreślić, że jest to profanacja nabożeństwa i religji".

Za to — konkluduje rabin Thon — autorowi (ks. Szymańskiemu) cześć!

Nie będziemy rozstrzygali, ile w takiem wystąpieniu ks. prof. Szymańskiego jest lekkomyślnego przyjęcia za prawdę wiadomości prasy żydowskiej i rządowej (bo prasa narodowa podała zupełnie inny obraz okoliczności, towarzyszących śmierci ś. p. Grotkowskiego, a zresztą miała zakneblowane usta) — ile zaś w tym ataku na polską młodzież jest niechęci do obozu narodowego, zwłasz-

cza do jego młodego pokolenia; być może, iż nawet znalażćby się dało u ks. Szymańskiego pewne elementy „programu odwetowego“ w stosunku do młodzieży, która nie poszła za „Prądem” i postawą swoją sprawiła, że odrodzenie katolicyzmu na wyższych uczelniach dokonało się poza „Odrodzeniem“. Ale postępowanie ks. Szymańskiego, jakkolwiek głębokie są może jego pobudki, nie powinno dawać pozorów, że staje on w jednym rzędzie z temi żywiołami, które zdzierały nekrologi śp. Wacławskiego z murów miast i miasteczek polskich. Czy ks. Szymański zastanawia się nad tem, jakie wrażenie wywołałoby wśród młodzieży odmowa duchownych odprawienia mszy św. za ofiarę ohydnego mordu? I jeszcze jedno. Co znaczy wyrażenie, że „ci, którzy mówili młodzieży tylko o zachowaniu spokoju, nie stanęli na wysokości swego powołania”? Prasa żydowska robi taką minę, jakby chciała powiedzieć: „my dobrze wiemy, że to monit pod adresem biskupów”. Sądzimy, że to zwykły żydowski *trick*, że poprostu wyzyskuje się, istotnie, nader niefortunny *lapsus linguae* ks. profesora. Ale na przyszłość dobrze jest nie dawać powodu do mylnych interpretacyj.

NAUKA I LITERATURA

KSIĄŻKA FRANCUSKA O LITERATURZE POLSKIEJ

W „*REVUE DES DEUX MONDES*“ (p. zeszyt z 15 grudnia 1932 r.) w dziale bibljograficznym, znajdujemy następującą notatkę o książce prof. Z. L. Zaleskiego „*Attitudes et Destinées*“: „*Une des plus éminentes personnalités de la Pologne d'aujoud'hui, le comte Z. L. Zaleski, vient de publier un ouvrage élégant et solidement documenté sur la littérature polonaise*“...

We Francji nie jest trudno Polakowi zostać hrabią (na Riwjerze np. honor ten spadał dawniej na każdego prawie Polaka), trudniej natomiast o wiele, jeśli jest autorem, piszącym po francusku, być wyróżnionym i spotkać się z uznaniem w świecie literackim.

Panu Z. L. Zaleskiemu, znanemu literatowi oraz profesorowi „Instytutu studjów słowiańskich“ w Paryżu, los widocznie sprzyja, gdyż nietylko uchodzi tam za hrabiego, lecz mają go nadto za jedną „z wybitniejszych osobistości Polski dzisiejszej“ i za autora, piszącego „elegauckie“ i „solidne“ książki. W istocie książka p. Z. „*Attitudes et Destinées*“ „(*Faces et profils d'Ecrivains polonais*“, str. 374) jest pisana „solidnie“ i zarazem „elegancko“, odznacza się bowiem piękną, niekiedy nawet wyszukaną, formą literacką, i zawiera treść bogatą, przesianą przez sito myśli krytycznej, przedstawioną czytelnikowi poważnie, ale nie nudnie — żywo w miarę i w miarę swobodnie. Książce swojej sam autor wyznacza rolę przewodnika, wprowadzającego czytelnika obcego pomiędzy najaktualniejsze zdarzenia literatury polskiej. Rolę powyższą spełnia ten „przewodnik“ wyśmienicie, nietylko dlatego, że posiada doskonałą znajomość swego przedmiotu, lecz i dlatego, że zna wybornie swoją klijentelę, w tym wypadku— „czytelnika obcego“, zwłaszcza czytelnika francuskiego. Wszystko tu zostało napisane z myślą o nim, z wyjątkiem chyba studjum p. t. „*Les relations polonaises de Flaubert*“ (Stosunki polskie Flaubert'a), które może zainteresować nietylko francuskich, lecz i polskich czytelników. W studjum tem autor wykazuje, jakie były stosunki twórcy „*Madame Bovary*“ z rzeczywistością polską — z Polakami i sprawą Polski — zbija pogląd, jakoby jeden z jego utworów („*Education Sentimentale*“) był „potępieniem polonofilstwa“, i, przeciwnie, stwierdza, że w dziełach Flaubert'a niejednokrotnie spotkać się można z wyraźną sympatją dla Polski.

Nie przeczę, żeby czytelnik polski nie mógł wiele skorzystać z innych studjów autora, znajdujących się w jego książce (np. ze studjum o Hoene-Wrońskim i t. p.), wszystkie one jednak, oprócz wyżej wspomnianego, są przeznaczone dla czytelnika obcego.

Poucżą one go o tem, jakiemi drogami szła twórczość literacka Polski w ciągu XIX wieku (szkic p. t. „*Romantiques et antiromantiques*“); o tem dalej, czem był dla Polski Mickiewicz („*Mickiewicz, chef moral de la Pologne*“) i o tem, jak wpływ jego odbił się we współczesnej literaturze naszej („*L'esprit de Mickiewicz dans la littérature polonaise contemporaine*“). Dowie się następnie czytelnik obcy z pięknego szkicu o Słowackim („*Słowacki, ouvrier de Dieu*“), jak ogromne walory uniwersalne zawiera jego twórczość; wreszcie pozna „oblicza“ i „profile“ szeregu najwybitniejszych pisarzy, należących przeważnie do t. zw. „Młodej Polski“. (Jan Kasprowicz, Żeromski, Reymont, Sieroszewski, Weyssenhoff, Strug, Przybyszewski, Kaden Bandrowski).

W końcowym szkicu p. t. „Na drogach powieści polskiej“ („*Sur le chemin du roman polonais*“) mówi autor o niektórych dążnościach współczesnej beletrystyki polskiej i charakteryzuje twórczość kilkunastu jej przedstawicieli. W książce „*Attitudes et Destinées*“ roi się od nazwisk autorów polskich oraz ich dzieł, o których czytelnik obcy nigdy nie słyszał i, najpewniej, nigdyby się nie dowiedział, z powodu dość obojętnego stosunku zagranicy do naszej twórczości literackiej. Wprawdzie z pisarzy polskich ostatniej doby, uwzględnionych przez p. Z. L. Zaleskiego, nie każdy ma czem zaimponować czytelnikowi obcemu, — niech jednak ich nazwiska rozchodzą się po świecie, niech się z niemi oswaja zagranica, a może na niejedno zwrócą tam uwagę, jak zwracają na rumuńskie, bądź argentyńskie — mniej jeszcze imponujące od naszych...

To pewna wszakże, iż na pisarzy polskich zwracanoby zagranicą częściej uwagę, gdyby ich ktoś jej czytelnikom tak umiejętnie — i w tak powabnej formie — polecał, jak to robi autor książki „*Attitudes et Destinées*“.

W. J.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Wydana w Krakowie z datą 1933 r. książka zbiorowa profesorów Uniwersytetów polskich p. t. „W obronie wolności szkół akademickich“ będzie po wieczne czasy pomnikowym dokumentem naszych smutnych czasów. Na 233 stronach 30 uczonych, często o światowej sławie, wykłada, jak dalece szkodliwa będzie — jeśli parlament waży się ją uchwalić — projektowana ustawa o reformie szkół akademickich, znosząca ich autonomję.

Gdy się już przekonaliśmy z dyskusji prasowej i sejmowej, że projekt rzeczony ma swoje źródło w motywach, nie posiadających nic wspólnego ze względami na dobro nauki, i że przekonywać tutaj niema kogo ani celu, to podziwiać musimy wysiłek dobrej woli ludzi tak poważnych, dokonany dla samej zasady, w celu zadokumentowania dla historji, że prawodawcom z r. 1933 nie zbywało na argumentach, trafiających do ich przekonania, że mieli uwidocznioną aksjomatycznie szkodę, jaką ustawa przyniesie.

Na czele tych 30 protestów znawców prawa lub świetnych praktyków i myślicieli stoi ś. p. Oswald Balzer, którego opinja zaważyłaby w podobnym wypadku w każdym obcym kraju. Tutaj nikt z tych, którzy za ustawą będą głosowali, nie oceni nawet zaszczytu, jaki ich spotyka, że świat naukowy do nich się zwraca z perswazją. Głos ś. p. Balzera, dochodzący nas dzisiaj zza grobu, brzmi wprost tragicznie. Przepowiada, że ten zamach spowoduje w konsekwencjach upadek ogólny kultury w Polsce.

Między profesorami, którzy zabrali w tej księdze głos, są osobistości z różnych obozów politycznych. Dosyć sobie uprzytomnić, że obok Balzera znajduje się St. Estreicher, Br. Dembiński, Tadeusz Zieliński, Marjan Zdziechowski, R. Dyboski, hr. Piniński, biskup Godlewski, St. Starzyński, Jan Rozwadowski i t. d. Nie widać polityków, a już z grupy Stron. Narodowego niema prawie nikogo. Nie będzie argumentu, że to akcja polityczna.

Z ciężkiem sercem notuje się taką pozycję w bibljografji literackiej kraju, który tak niedawno odzyskał niepodległość na to, aby walczyć o wolność.

*

Szylerowskiego „Don Karlosa“ w przekładzie K. Iłłakowiczówny mieliśmy sposobność niedawno widzieć i słyszeć ze sceny. Urywek przekładu drukował się na łamach „Myśli Narodowej“. Obecnie cały przekład ukazał się (nakładem Gebethnera i Wolffa) w dwóch edycjach: ozdobnej i popularnej — i znajdzie niewątpliwie chętnych czytelników, dla wielkiej swej naprawdę wartości artystycznej. Nie jest to właściwie przekład, ale parafraza, i to posunięta arcydaleko, bo zmieniająca zasadniczo nawet ton utworu. Jak wiadomo, formą wierszową oryginału jest regularny „pięciostopowiec jambiczny“, przejęty od Szekspira, a stosowany — po „Don Karlosie“ — we wszystkich następnych dramatach Schillera (z wyjątkiem „*Braut von Messina*“). Iłłakowiczówna wyłamała się z ciasnych pęt tego wiersza i zastąpiła go formą indywidualną, podobnie jak to uczynił Wyspiański w parafrazie „Cyda“, z tą różnicą, że w „Cydzie“ Wyspiańskiego szeroki aleksandryn Corneillo'owski został zastąpiony wartkim a jędr-

nym akcentem, natomiast Iłłakowiczówna swoim obyczajem użyła wolnego, rozlewnego wiersza, spojonego jedynie (odległym często) rymem, tak iż dramat stał się niejako bardziej liryczny — a jednocześnie i zróżniczkowany, gdyż zmienna fala wierszowa naogół dobrze odpowiada różnicom w charakterze osób; role kobiece najwięcej na tem zyskały. Polot poetycki i piękne wysłowienie bardzo zalecają ten przekład.

Dobrze, że wzięto się u nas do odświeżania Schillera i Goethego, gdyż dawne przekłady (często z przed 100 lat), jpokutujące dotąd po szkolnych podręcznikach, były niekiedy językowo potworne, albo też (jak przekł. Odyńca) retorycznonudne. Dobry początek dał kiedyś Kasprowicz, którego przekłady — m. in. także i przekład „Don Karlosa" — niestety nie zostały docenione. Drugi po nim był Zegadłowicz przez parafrazę „Turandot" (nietyle z Gozziego, ile z parafrazy Schillera) i wolny przekład „Fausta" (podobno teraz ma wydać przekład „Ballad" Schillera). Iłłakowiczówna stanowi po Zegadłowiczu ogniwo następne. (J. B.)

*

Ukazała się interesująca broszura dra Jana Kroo p. t. „Reforma systemu ubezpieczeń społecznych, a zasada przymusowej oszczędności i częściowego ubezpieczenia" (1932 r. Odbitka z „Przeglądu ubezpieczeniowego") Zawiera ona krytykę projektu Izby Przemysłowo-Handlowej w Sosnowcu, pragnącego zastąpić dzisiejsze ubezpieczenia społeczne systemem przymusowej oszczędności. (J. P.)

ZMARLI

ZMARŁ OSWALD BALZER!

CIĘŻKA to dla społeczeństwa polskiego strata! Śmierć śp. Balzera nastąpiła 12 stycznia. Ostatnią jego czynnością było pisanie obrony od zamachu na autonomję uniwersytetów. Czy mógł się tego spodziewać w wolnej Polsce on, który ze swej katedry wznosił wysoko na cały świat sztandar kultury polskiej! To był cios moralny, który go dobił.

Oswald Marjan Balzer urodził się 23 stycznia 1858 r. w Chodorowie, w Małopolsce. Studja gimnazjalne ukończył w latach 1871—1878 we Lwowie, poczem przez trzy pierwsze lata (1879 do 1881) uczęszczał na uniwersytet lwowski, gdzie pracował pod kierunkiem prof. Liskiego, czwarty zaś rok studjów spędził w r. 1882 w Krakowie, pod kierunkiem prof. Bobrzyńskiego. W r. 1883 uzyskał doktorat prawa, poczem udał się na dokończenie studjów do Berlina. W 1885 r. habilituje się w Uniw. Lwowskim, jako prywatny docent prawa polskiego, a w dwa lata później obejmuje katedrę historji prawa polskiego.

Był członkiem szeregu różnych Akademij Umiejętności: czeskiej, jugosłowiańskiej, bułgarskiej, rosyjskiej, wszystkich polskich towarzystw naukowych, — doktorem honorowym filozofji Uniwersytetu Lwowskiego, Warszawskiego i czeskiego w Pradze, honorowym doktorem prawa Uniwersytetu Poznańskiego i Wileńskiego. Ofiarowano Mu obywatelstwo honorowe Lwowa i Sanoka, — dalej Pardubic i Łanów, w Czechosłowacji.

W roku 1891 został dyrektorem Archiwum Krajowego (obecnie Ziemskiego), Od r. 1920 był prezesem Tow. Naukowego Lwowskiego.

Bogata spuścizna naukowa śp. Balzera streszcza się w dwustu kilkudziesięciu dziełach i rozprawach naukowych, mających podstawowe znaczenie dla nauki.

Z ważniejszych wymienić należy: „Geneza Trybunału koronnego" (1886). podstawowe dzieło, nieprześcignione dla znajomości najważniejszych instytucyj sądownictwa polskiego. Szereg bardzo wybitnych prac zebrał w „Studjach nad prawem polskiem" (1889). Następują kolejno: „Reformy społeczne i polityczne Konstytucji Trzeciego Maja" (1891), „Genealogja Piastów" (1895), „O następstwie tronu w Polsce" (1897), „Historja ustroju Austrji w zarysie" (1899), „Sejm mazowiecki pod rządem koronnym. W sprawie sankcji statutu mazowieckiego z r. 1532" (1900).

Gdy w r. 1897 Teodor Mommsen wydał swój list o wyższości rasy germańskiej a niższości słowiańskiej, Balzer podejmuje rzuconą rękawicę, ogłasza swój „List otwarty do Teodora Mommsena" i w druzgocący sposób rozprawia się z jego wywodem. List, drukowany w prasie polskiej i czeskiej oraz po niemiecku w *„Neue Freie Presse"* wywołał podówczas w całym świecie ogromne wrażenie. Cały szereg miast czeskich udziela mu w podzięce obywatelstwo honorowe.

Następują dalsze prace: „Spór o Morskie Oko" (1906) jest wynikiem wspaniałych Jego studjów, które w znanym sporze pomiędzy ówczesną Galicją a Węgrami o Morskie Oko i Czarny Staw zachowały przy ziemiach polskich te przepiękne perły tatrzańskiego krajobrazu.

Od r. 1891 pracował nad podstawowem dziełem, mającem objąć wszelkie ustawy polskie od czasów średniowiecza, ogłasza program pracy i niebawem opuszcza tłocznię *„Corpus iuris Polonici"* (1906—1910), prześcigające metodą wydawnictwa zagraniczne.

Podstawowemi dalej pracami były studja nad prawem ormiańskiem, związanem ściśle z ludnością ormiańską starego Lwowa. Wynikiem tych prac był „Statut ormiański w zatwierdzeniu Zygmunta I. w r. 1519" (1910).

Następują z ważniejszych prac: „Skartabelat w ustroju szlachectwa polskiego" (1911) — „Z zagadnień ustrojowych Polski" (1915), — „Skarbiec i archiwum koronne w dobie przedjagiellońskiej" (1917), „Królestwo Polskie 1295—1370" w trzech tomach (1919—1920). Jednem z ostatnich jego dzieł była olbrzymia praca, ilustrująca pierwotną skarbowość polską: „Narzaz w systemie danin książęcych pierwotnej Polski" (1928), ostatnio pracował nad „Statutem Wiślickim". Nie ustawał w pracy naukowej po ostatnie niemal dni swego życia.

Od r. 1891—1894 śp. Oswald Balzer redaguje „Kwartalnik historyczny" a od r. 1899 wydaje bezcenne „Studja nad historją prawa polskiego".

Ku uczczeniu wielkich zasług naukowych śp. Oswalda Balzera wydaną została w r. 1925 „Księga pamiątkowa" — w której obok uczonych polskich pomieścili swe prace uczeni czescy, jugosłowiańscy, bułgarscy, angielscy i holenderscy.

Śp. Oswald Balzer poza pracą naukową poświęcał wiele czasu kształceniu młodych sił naukowych. Do jego uczniów należą dziś znani na terenie kraju i poza jego granicami uczeni: dr. Pazdro, dr. Dąbkowski, dr. Szelągowski, dr. Zygmunt Wojciechowski, dr. Hel, Polaczkówna i w. in. Nadzwyczajną pieczołowitością otaczał swych uczniów, czy zachęcając do pracy, czy popierając wyniki ich studjów.

Zmarły piastował następujące godności: członka honorowego Tow. Archeologicznego w Moskwie (1894), Muzeum Narodowego w Rapperswylu (1898), Tow. prawników czeskich Vszehrd w Pradze (1899), Akad. Umiej. w Krakowie (1900), Król. czeskiego Tow. Naukowego w Pradze (1901), Tow. historji i starożytności rosyjskiej w Moskwie (1904), Kasy Literackiej w Warszawie (1904), państw. Rady Archiwalnej w Wiedniu (1909), Akad. Umiej. w Petersburgu (1909), Tow. heraldycznego we Lwowie (1909); był doktorem *honoris causa* Wydz. Fil. Uniw. Jana Kazim. (1903) i Wydz. Fil. Uniwersytetu w Pradze (1909).

W latach 1893 i 1913 O. Balzer był dziekanem Wydz. prawa U .J. K., w r. 1896 piastował godność rektora U. J. K.

Zmarły był kawalerem orderu „Orła Białego" i złotego Krzyża Zasługi oraz posiadał odznakę honorową *„Litteris et artibus"*.

Prócz wymienionych wyżej godności zaznaczyć należy, że godnością członka honorowego obdarzyły śp. Balzera Akad. Umiej. w Zagrzebiu i Sofji, dalej Inst. słowiański Kings, College Uniw. w Londynie, Tow. Naukowe im. Szafarzyka w Bratislawie, Tow. Naukowe im. Szewczenki we Lwowie, Matica Serbska w Nowym Sadzie i in.

Do oceny zasług naukowych śp. Balzera powrócimy, uzyskawszy ku temu pióro kompetentne.

Ś. P. MACIEJ WIERZBIŃSKI

ZMARŁ w Warszawie wybitny pisarz Maciej Wierzbiński. Urodzony w r. 1863 w Poznaniu, był synem Władysława, zasłużonego publicysty i posła poznańskiego.

Po odbyciu studjów uniwersyteckich w Berlinie i w Antwerpji, przeniósł się do Londynu, gdzie w r. 1895 zaczął pisać po angielsku. Pierwszą jego książką polską były nowele, wydane w Warszawie w r. 1899. Następnego roku powrócił do kraju, gdzie był redaktorem tygodnika „Praca" w Poznaniu i „Dziennika Kujawskiego" w Inowrocławiu. W r. 1906 był zasądzony na 2 lata więzienia we Wronkach za artykuł antyniemiecki. Po opuszczeniu więzienia przeniósł się do Warszawy.

Poza pracą dziennikarską wydał szereg powieści, czerpiąc tematy przeważnie z życia wielkopolskiego. Ważniejsze powieści historyczne i obyczajowe jego to: „Wiosna ludów", „Szalony rok", „Wolność", „Atak sępów", „Pod Mysią wieżą", „Dolar i sp.", „Pękły okowy", „Honor", „Wielka gra", „Oaza miłości". Oprócz powieści i kilku tomów nowel („Pięść Marcina Wilczka", „Siostra Felicja" i in.), pisał też sztuki teatralne, z których „Kaiser" był wystawiony w Poznaniu.

Przed kilkoma tygodniami przyznano Wierzbińskiemu nagrodę literacką im. Elizy Orzeszkowej za całokształt jego działalności literackiej.

OFENSYWA

SZEKSPIR NA JIDDEKSIE

JEST bowiem *Index* i jest *Jiddeks* to jest *index librorum prohibitorum* w Izraelu. Ten drugi właściwie dopiero się zaczyna. Pierwszy poszedł na czarną listę Szekspir, ściślej jego „Kupiec Wenecki“. Na dany *„wink von Oben“* w pierwszej Ameryce w kilku gminach żydowskich i radach miejskich ni stąd ni zowąd dezyderat, aby z *high-schools*, ze szkół gminnych wycofać z obiegu i z bibljotek szkolnych: „Kupca Weneckiego“. W Baltimore, w Paterson, w Buffalo, a wreszcie w New-Yorku, aby w *West-New-York-High-School* zakazać czytania „Kupca Weneckiego“. I odrazu przerzuca się ten postulat imperjalistów semickich do... Szanghaju! do Szanghaju! I tam także zażądała gmina żydowska, aby z bibljotek szkolnych wycofać „Kupca Weneckiego“. Z czasem przerzuci się ten interdykt na cały świat. Najpierw chejrem na „Kupca“, potem może na całego...

No dobrze, ale co będzie gdy ten ostracyzm rozszerzy się i na innych autorów? Po Szekspirza przyjdzie Marlowe i jego „Żyd Maltański“. Potem kolejno Dickens z „Oliwerem Twistem“, potem cały Chesterton, potem Belloc... Potem może wezmą się do autorów innych narodów.

Na listę zakazanych pójdzie Wolter, potem zapewne Renan i kilkunastu powieściopisarzy, od Gypa zacząwszy, na Lacretelle'u, Maritainie nie kończąc. Dużą niespodzianką będzie postawienie na jiddeksie przedewszystkiem... Zoli! My bowiem znamy jednego Zolę, tego po procesie Dreyfusa a istnieje drugi Zola, którego powieści stare, ale nie zwietrzałe, na gwałt należałoby tłumaczyć. To Zola młody, świeży i mocny, Zola opisujący epokę Napoleona III (bliźniaczo podobną do ery Imperatricy Sanacji.) Te powieści to przedewszystkiem: *„Son Excellence Eugène Rougon-Macquart“* z takim Szajlokiem, jak bankier Kahn, deputowany z Bordeaux. Dalej idzie słynna *„Nana“* z takim brudnym Szajlokiem jak Steiner. Dalej idzie: *„L'Argent“* z cała galerją potwornych semickich gełdziarskich szakali i hyjen. Poczem idzie *„Paris“*, znów cała galerja kryminalistycznej *juiverie*. Zmiana w Zoli zaczyna się dopiero od Dreyfusowskiej *„Verité“*, powieści z ostrzem antykatolickiem, z ciemnemi typami militarystów (Gorgiasz-Esterhazy). Ale i w tej jednak jest też ohydny typ żyda, barona Nathana, którego córa Leja wychodzi za mąż za antysemickiego hołysza, hrabiego Sausboef...

Czy te p i ę ć powieści Emila Zoli też mają pójść na *jiddex*? Oczywiście.

A kto z Polaków? No oczywiście „Geldhab“ Fredry, który już zresztą w Polsce jest niedopuszczalny i niemasz teatru, któryby się ośmielił go wystawić, Prusa „Kroniki“ na *jiddex*, Świętochowski na *jiddex*, Tetmajera „Panna Mery“ także. Oczywiście „Nieboska komedja“ Krasińskiego, jedyny nasz dramat romantycznej ery grany i w Niemczech i w Sowietach, w Polsce dzisiejszej absolutnie zakazany. A co z Wyspiańskim?

Cyganie i krętacze krytyczni mozolili się ostatnio z przemalowaniem twórcy „Sędziów“ na judemokratę. Opierali się na jednym epizodzie jego życia, to jest na ostatniem roku, w którym Feldman otaczał Wyspiańskiego przyjaźnią i opieką, istotnie szczerą, gorącą i bezinteresowną w znaczeniu interesowności ściśle materjalnej, gdyż przyjaźń z Wyspiańskim ostatecznie mocno podniosła literacki, a potem polityczny autorytet Feldmana, tak jak Mortkowiczów wydobyła z Ghetta przyjaźń dla Żeremiasza, a jak jakiś znów pokątny bankierski synek Armand Loevy profitował przez 40 lat od śmierci Mickiewicza z tego tylko, że się w porę, jak to w Sanacji mówią, „wtrynił“ czy „napatoczył“. Co do Wyspiańskiego tedy, to tak „Wyzwolenie“, jak „Wesele“, jak i „Sędziowie“ muszą w przyszłości pójść na *jiddex*. Jasne i czyste postacie Joasa i Juklego „Sędziów“ z pod ostracyzmu pansemickich inkwizytorów nie uwolnią. To jest i zostanie dramat ras, rasowy dramat ras. Stwierdza to zresztą, jak zawsze lojalnie, narodowiec żydowski (zapadający dopiero obecnie na *rabies* szowinistyczną i megalomanję prześladowczą) p. Appenszlak, który w „Naszym Przeglądzie“ całkiem słusznie pisze

„A może chodziło Wyspiańskiemu o przedstawienie walki ras? W takim razie zasadniczy pierwiastek zła ucieleśniałyby postaci żydowskie — dobro byłoby jedynie po stronie aryjskiej. Dodatnie postaci Joasa i Jukliego — uzmysłowiałyby tylko opozycję przeciw hegemonji zła.

Takie przypuszczenie, a co za tem idzie — pomawianie autora „Sędziów“ o tendencje antyżydowskie — rodzi się w świadomości wielu widzów dlatego, że rozkład czynników dodatnich i ujemnych — po obu stronach demarkacyjnej linji ras — nie jest równomierny. Tak się składa, że „czarne charaktery“ są tylko po stronie żydowskiej. Strona druga — to ofiary wyzysku i nikczemności Samuela i Natana“.

All-right. Żaden Pomper czy Peiper, Breiter czy Gefreiter z pierwszej brygady grafomanów sanacyjnych na to nie poradzi.

Andrzeja Niemojewskiego na *jiddex* idzie kilka tomów. Uczony krytyk żargonowy p. Jehuda Warszawiak w swoim drugim tomie studjów z literatury polskiej dopatruje się antysemityzmu nawet u.., Sieroszewskiego w swego czasu granej tandetnej ramocie scenicznej („Bolszewicy“), ale dodaje wnet:

„...że Sieroszewski niejednokrotnie żałował później swych antysemickich tendencyj, czemu dał wyraz w rozmowach z pisarzami żydowskimi i w prasie“.

Pokajał się więc. Można się tego było spodziewać. Sieroszewski wprawdzie w ustawicznie odgrzewanych wspominkach wraca raz po raz (gdy tego potrzeba) do Jakutów, ale pozatem jest to także *businessman*, który swej poczytności czy popularności u żydów za miskę soczewicy by nie sprzedał.

Pozostaje Mickiewicz. Tego wieszcza zawżydzili nam w ostatnich czasach *viribus unitis* ile tylko mogli (odbronzowienie). Dwudziestu macha—boyów uwzięło się i spiknęło, żeby twórcę „Pana Tadeusza“ narodowi obrzydzić. Posąg z bronzu obrzucili błockiem anegdotycznej psychoanalizy seksualnej. Gdzie, kiedy, z kim, ile razy i jak to okropnie kochał polski wieszcz żydów. Otruli go Zamoyscy (Maurycy?... Komitet Narodowy!) za to, że zanadto pokochał żydów. I jakiś zagadkowy szwindler, z duszą „cygańską“ skomponował sobie taką tezę dla Mickiewicza:

„Bez wyzwolenia Żydów w Polsce i rozwoju ich ducha Polska powstać nie może. Jeżeliby, w co ja nie wierzę, ona powstała bez wyzwolenia Żydów, napewno nie będzie się ona mogła utrzymać... Nie chciałbym, by Żydzi wynieśli się z Polski, bo unja Polski z Izraelem jest przeznaczona do wzmocnienia Rzeczypospolitej, jak ongiś wzmocniła ją wojskowa z Litwą“...

Szmonces to i szwindel. Tego nikt nie słyszał. To dopiero teraz banda macha-boyów wywlekła celem przyśpieszenia procesu, zamieniającego Polskę w Judosławię, w Syjon, w pandemonję antychrystowską. Tego nigdzie do r. 1932 nie drukowano. Żadnych świadków.

Natomiast wydrukowano co innego:

„Słyszycie, że mówią Żydzi i Cyganie i ludzie z d u s z ą ż y d o w s k ą i c y g a ń s k ą: tam ojczyzna gdzie dobrze. A Polak powiada narodom: tam ojczyzna, gdzie źle“.

A dalej jest bajka o Rabinie i Pchle.

A wreszcie jest „Pan Tadeusz“ Księga VIII, ustęp o Zosi, która wśród ogólnej wrzawy krzyknęła, sędzię objąwszy rękami:

„jako dziecko od żydów kłóte igiełkami!“.

Jest tak, czy nie jest? Co to znaczy? Czyżby Mickiewicz wierzył w mord rytualny? Czarne na białem: „dziecko od żydów kłóte igiełkami“. *Ergo*? I Jankiel cymbalista jest krótkim epizodem i Armand Levy jest epizodem krótkim (po—Deybeloskim). Dla żydostwa Mickiewicz miał sympatję jako... emigrant i jako artysta, dla Izraela, ale nie dla Judy (powiedzenie o Heinem!), nie dla żydów massohnów, a dla... b o g o o j c z y ź n i a k ó w [1]

Tych z miast wielkich uważał za „faktorów i geszefciarzy“. Mylił się zresztą i on także, i bywał w błędzie także...

W roku 1812 najwięcej szpiegów armji rosyjskiej dostarczali wedle historyków tej kampanji właśnie karczmarze żydowscy.

W każdym jednak razie „Pan Tadeusz“ powinien iść na *jiddex*, takiem samym prawem, jak „Kupiec Wenecki“.

Starania o wykreślenie czy wymazanie tego ustępu z VIII księgi „Pana Tadeusza“, zaczną żydzi koło roku 1939. Gdy się im nie uda, rozpoczną kampanję za usunięciem „Pana Tadeusza“ z bibljotek szkolnych.

ADOLF NOWACZYŃSKI

---

[1] Wł. Mickiewicz syn w liście z 24 kwietnia 1924: „Odpowiedział raz mój ojciec na wyrzuty, czynione Żydom: „Każdy Żyd wierzy w Boga i w ojczyznę. Czy można to powiedzieć o jakimkolwiek innym narodzie?“

NA MARGINESIE

Poseł Icek Grünbaum bardzo jest niedyskretny. Kiedy Historja kładła już laur na głowy domniemanych twórców reformy szkół akademickich, przytrzymał jej rękę i skierował wieniec na swoją głowę:

— Przepraszam panią dobrodzikę, to nasza idea, a uni są tylko... naszymi entuzjastami.

*

Wystrychnięci na dudków w aferze pszczyńskiej sanatorzy spostrzegli, że żydzi zaczynają się obywać w interesach bez pośredników. Lewin wystarczy, sam sobie poradzi. Poco się ma dzielić?

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półrocz. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA RYCZAŁTEM OPŁACONA.